Nr. 1. Lwów dnia 1 Stycznia 1890. Rok I.




„*Gwiazda katolicka*" wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca w objętości 2—1½ arkuszy druku i kosztuje w *Austryi*: całorocznie 6 zł., półrocznie 3 zł., kwartalnie 1 zł. 50 ct.— W *Niemczech*: rocznie 12 marek, półrocznie 6 m., kwartalnie 3 m. — W *Francyi, Włoszech, Rumunii* i *Turcyi*: rocznie 16 fr., półrocznie 8 fr., kwartalnie 4 fr. — W *Ameryce* 4 dolary rocznie.

*Przedpłatę* nadsyłać należy wpr st do Redakcyi (*Lwów*, ul. Ossolińskich, l. 11).

*Ogłoszenia* umieszcza się za opłatą 6 ct. od jednego wiersza. Przyjmuje takowe: administracya „Gwiazdy katolickiej.

*Reklamacye* uwzględniają się tylko w przeciągu dni 14 po wyjściu nru.

*Odpowiedzi* następują tylko na listy, w których załączone są marki pocztowe.

*Rękopisów* nie zwraca się. — *Numer pojedyncsy* kosztuje 24 ct.

WŁAŚCICIEL, WYDAWCA I ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KS. MARCELI DZIURZYŃSKI.



# Program.

Być może, iż zjawienie się naszego pisemka wyda się niektórym wcale niepotrzebnem lub co najmniej zbytecznem, zwłaszcza że kraj nasz nie bardzo materyalnie bogaty i tak znaczną już stosunkowo posiada liczbę dzienników i peryodycznych pism przeróżnego rodzaju i o różnej tendencyi. Na razie nie przeczymy temu przypuszczalnemu zarzutowi, ale mimo to ośmielamy się tutaj powtórzyć słowa jednego z mowców ostatniego wiecu katolickiego odbytego przed pół roku w Wiedniu, a mianowicie: „*że potrzeba nam i wielkich i małych czasopism w daleko większej ilości i o szerszym zakresie niż to dotyczas istnieje.* Jeżeli zaś o którym kraju, to przedewszystkiem o naszym, śmiało można powiedzieć, że mimo dość licznych czasopism, wcale jeszcze nie ugina się on pod ciężarem pism, zwłaszcza takich, któreby popierały życie katolickie i śmiało stawały do walki z obecnymi niezdrowymi prądami, które wiarę i moralność chciałyby wyrwać z serc wierzących. Najżywotniejsze kwestye, odnoszące się do najważniejszego celu człowieka, pomijają one milczeniem lub obrabiają pobieżnie a czasem nawet w duchu zupełnie przeciwnym zasadom św. naszej wiary katolickiej. Prócz kilku, dość nie licznych dzienników i paru tygodników, niektóre zdaje się zapomniały o tem, że idą do rąk katolickich czytelników i szerzą zasady, zrodzone na obcym gruncie. W obec takich stosunków pisemko nasze postawiło sobie ten cel, by *a) bronić prawd św. wiary naszej*; *b) wyświecać, o ile można w sposób najpopularniejszy, kwestye społeczne w duchu chrześciańskim*; *c) przedstawiać w świetle, prawdy zdarzenia z dziedziny historyi Kościoła, które nieprzyjaciele z rozmyślnej złości lub nieświadomości rzeczy przekręcają i obrzucają błotem oszczerstwa, ~~a takie~~ d) dołączaniem opowieści o tendencyi chrześciańskiej, stawiać możliwą zaporę niemoralnej belletrystyce,* która dziś tak wielkie czyni spustoszenia w sercach młodzieży i dojrzalszych chrześcian-katolików. Polityką, pisemko nasze wcale zajmować się nie będzie lub tylko małej części, pozostawiając tę rzecz dziennikom fachowym, ani też myśli w jakikolwiek sposób szerzyć narodową i bratnią niezgodę. Cichą, nie rozgłośną pracą postanowiliśmy sobie podtrzymywać w ziomkach naszych przedewszystkiem ducha św. wiary naszej, a tuszymy sobie, że ogół katolicki użyczy nam w tej zbożnej pracy łaskawego poparcia, o które gorąco upraszamy.

Redakcya.

# Czy możemy i czy powinniśmy bronić religii katolickiej.

## I.

Jednem z największych dobrodziejstw, jakich Bóg człowiekowi udzielił, jest niezaprzeczenie religia. Serce człowieka i wszystkie prawie stosunki jego, koniecznie wymagają religii, jak słusznie powiedział Wielki Augustyn: „Stworzyłeś nas Boże dla Ciebie, i niespokojne jest serce nasze, dopokąd nie odpocznie w Tobie“, a nie może w Nim inaczej odpocząć, jak przez religię.

Mimo to, nie ma na świecie religii, którejby najcięższych nie robiono zarzutów. Poganom dowodzimy wyznawanie fałszywych bogów, oraz nierozumną, nieraz okrutną oddawaną im cześć; mahometanom, że ich wyznanie jest wymysłem przewrotnego człowieka, same nawet występki zalecającego jako cnoty; protestantom i innym akatolikom fałszywe artykuły wiary i bezbożne przepisy moralności; żydom, że ich wiara przestała być prawdziwą od czasu Jezusa Chrystusa, czyli przyjścia Messyasza; wszystkim wiarom, prócz katolickiej, że są fałszywemi i człowieka uszczęśliwić nie mogą.

Gdyby jednak na tym świecie panowało królestwo światłości, na temby się kończyły zarzuty przeciw religiom. Ponieważ wszakże dopiero w przyszłem życiu, mamy sprawiedliwością być nasyceni, nietylko więc inne wyznania, ale i religia Chrystusowa, lubo jedynie prawdziwa, najzawziętszych miała także przeciwników od pierwszych wieków chrześciaństwa, aż do naszych czasów, od pogańskich Cezarów, Celsów i Porfiriuszów, aż do Wolterów, Hartmauów, Darwinów, Renanów i innych. Co gorsza, nawet w życiu codziennem, i w każdej sferze społeczeństwa ludzkiego. ileż to, byle odkogo nawet, nasłuchać się można przeciw niej zarzutów? I to nie tylko takich, które ledwie przebrzmią i w zapomnienie pójdą, lecz także upozorowanych wrzekomymi dowodami nauki, badań i odkryć, które nieraz głęboko w umysł i serce się wkradają, same nawet podwaliny religii zachwiać potrafią, duszę coraz to oziębléjszą względem niej czynią, a jakżeż często i całkowicie od niej odwracają!

Cóż więc wśród takich okoliczności czynić nam wypada? Czy może obojętnie na tę walkę patrzyć? Ależ tu chodzi o największy skarb serca naszego, jakim jest religia! Czy małoważyć sobie usiłowania jej przeciwników? Ależ oni tak wielką szkodę jej wyrządzają, a od niej cała wieczność nasza i potomstwa naszego albo najszczęśliwsza, albo najnieszczęśliwsza zależy! Czy może samemu tylko Bogu jej obronę zostawić, ależ Bóg żąda we wszystkiem współdziałania naszego! „Stworzył cię Bóg bez ciebie, ale cię nie zbawi bez ciebie“, mówi św. Augustyn.

Cóż więc pozostaje? Oto jak bronimy dóbr ziemskich, lubo przemijających, przed rozdarciem lub marnem ich rozproszeniem, tak tembardziej winniśmy bronić dóbr naszych nadziemskich, wiekuistych, jakiemi jest religia.

Prawda, że nie każdemu wolno wdawać się w dysputę w obronie religii, tylko duchowym, i to tym jeno, co mają do tego odpowiednie wykształcenie. Papież bowiem Aleksander IV. rozporządza wyraźnie: „Zakazujemy, aby żadnej świeckiej osobie nie wolno było o wierze katolickiej ani publicznie, ani prywatnie rozprawiać; ktoby zaś inaczej czynił, ma być z Kościoła katolickiego wykluczony *)“. Zato tem większy obowiązek i na świeckich ciąży, aby przy danej im sposobności fundamenta naszej św. religii jak najgruntowniej starali się poznać, „zawżdy gotowymi będąc ku dosyć uczynieniu każdemu domagającemu się od nas sprawy (przyczyny), o tej nadziei, która w was jest“, (1 Petr. 3. 15.), gruntownie sami w niej się utwierdzili, a głębokie swe przekonanie na spółczesnych i potomków swych przelewali, co już bardzo wielką będzie obroną nasszej św. wiary.

Lecz jakżeż mogą ludzie świeccy w zasadach religii się utwierdzić, zwłaszcza jeżeli im obrona tychże zasad w konfessyonale, z ambony, w czasopismach, książkach i broszurach często, owszem nieustannie głoszoną nie będzie? Przeto ci z duchowieństwa, którym, jak się wspomniało, zdał Kościół katolicki obronę swej wiary, z tem większą gorliwością oddawać się jej winni, tem cięższą mają odpowiedzialność, iż na nich tylko samych sprawa tak wielkiej wagi jest ograniczoną. Dlatego do nikogo bardziej nad nich, nie odnoszą się owe słowa Boże! *Otom dał słowa moje w usta twoje. Otom cię dziś postanowił nad narodami i nad królestwy, abyś wyrywał i kaził i wytracał i rozwalał, a budował i sadził*“. (Jer. 1. 9). I „*jeśli nie będziesz mówił, aby się strzegł niezbożnik drogi swojej, on niezbożny w nieprawości swej umrze, ale krwi jego z ręki twojej szukać będę*“. (Ezech. 33. 8)

A to tembardziej, że niezmierna zachodzi różnica między zarzutami stawianymi innym religiom, a oszczerstwami rzucanemi na Kościół katolicki. Tamte bowiem mogą być słuszne i udowodnione, ale temu nic takiego wykazać niepodobna, gdyż wszystko co mu przeciwstawiają, jest czczą trudnością zawsze rozwiązać się dającą. Przyczyna tego bardzo prosta: bo jak nie można obronić fałszu i udowodnić, że on jest prawdą — tak przeciwnie prawda zawsze zwyciężyć może i musi. „*Skoro bowiem* — mówi św. Tomasz z Akw. Q. 1. a. 8. *wiara katolicka na nieomylnej prawdzie* (słowie Bożem) *się opiera, niemożliwą zaś rzeczą prawdzie przeciwieństwo* (fałsz) *udowodnić, to oczywista, że zarzuty przeciw Wierze naszej stawiane, nie są dowodami, tylko argumentami, które mogą być rozwiązane*“. Sobór zaś Wat. s. 3. r. 4 określa: „*Żadna prawdziwa niezgoda między Wiarą*

*) Kajetan wykłada to tylko o miejscach, gdzie nie ma konieczności, aby świeccy w obronie religii występowali, i gdzie przeciwnym zwyczajem prawnym, nie jest ten przepis usunięty. Zresztą Excom. tylko ferendae sententiae.

*a rozumem nigdy być nie może... bo prawda prawdzie nie może się sprzeciwiać*“. Nic przeto dziwnego, że, jak świadczą dzieje, kiedy inne religie zmieniają się i giną, a ich wyznawcy zawstydzeni wcześniej czy później ustąpić muszą, sama tylko wiara katolicka, z każdej walki z nowym wychodzi tryumfem.

Zrozumiemy to jeszcze łatwiej, jeżeli choć potrosze zastanowimy się nad przyczynami zarzutów stawianych naszej religii. Jedni bowiem powodowani samą tylko zarozumiałością, nie mając czem uwagi na siebie zwrócić i wyszczególnić się, a pragnąc aby ich podziwiano, odważają się na najnierozsądniejsze nieraz obelgi przeciw religii, byle ich choć na razie słuchający odeprzeć nie potrafili. Pominęliśmy takich bohaterów milczeniem, gdyby i ci nieraz Kościołowi szkody nie czynili, gdyby przeto i przeciw tym niekiedy powstać obowiązkiem naszem nie było, wykazując, że całą wewnętrzną wartością ich zarzutów jest: pycha.

Drudzy za ciężkie swoje występki wielkiemi zgryzotami sumienia trapieni, nie mogąc się inaczej uspokoić, starają się wmówić w siebie i u innych, choć nadaremnie, że ani Bóg nie istnieje, ani dusza, ani życie przyszłe, ani żadna odpowiedzialność po śmierci, a wszelka utrzymująca to religia, jest fałszywą. Nic łatwiejszego jak tym udowodnić, że jeżeli tylko będą żyli uczciwie, nie będą bluźnili religii.

*Najczęściej jednak* — — mówi Sobór Wat. s. 3. r. 4 — *z tej przyczyny wierze katalickiej się sprzeciwiają, że nauka wiary nie według myśli Kościoła zrozumiana, ale przekręcona i całkiem fałszywie wyłożoną została; albo też same tylko hypotezy t. j. mniemania uczonych, i wcale nieudowodnione, lecz wrzekome tylko wyniki umiejętności naturalnych, za prawdy udowodnione biorą.* Dlatego całkiem słusznie ostatni wiec katolików w Wiedniu między innemi uchwałami swemi domaga się *jak najczęstszego głoszenia nauk apologetycznych, w którychby artykuły wiary według myśli Kościoła wykładano, cokolwiekby przeciwnicy z umiejętności naturalnych przeciwstawiali wierze jako hypotezę nieudowodnioną, lub co udowodnione, jako się jej niesprzeciwiające wykazywano.* „*Żadna bowiem prawdziwa* niezgoda — mówi dalej Sobór Wat. tamże — *między religią objawioną, a naukami przyrodzonemi nigdy być nie może, gdyż ten sam jest Bóg, od którego pochodzą prawdy wiary i prawdy z dziedziny umiejętności naturalnych. Bóg zaś sam przeciw sobie działać nie może, więc nie mógł objawić np. że mamy duszę nieśmiertelną, a nie dać nam jej w dziedzinie natury.* „Dlatego wszyscy chrześcianie takich opinie, które wierze katolickiej się sprzeciwiają, nietylko nie mogą *jakoby rzeczywistych wyników naukowych bronić, lecz raczej obowiązani są uważać je zupełnie za błędy, które tylko złudne podobieństwo prawdy na sobie noszą.* Jak przecież trudno niejednemu tej złudzie się oprzeć, jeżeli w jej zwalczeniu przewodniczyć nie będziemy!

A lubo ciężka to bezwątpienia praca, i gruntownego wymagająca wykształcenia, jakżeż jednak wielką zyskują zasługę i niepospolitą okrywają się chwałą do tego powołani, stojąc w szeregu najznakomitszych mężów, co w obronie Kościoła od pierwszych wieków, aż do naszych czasów występowali. Dosyć wspomnieć tu mędrców atteńskich: Quadratusa, Arystydesa, Atenagorasa, Justyna; mistrzów wymowy; Tertulliana, Origenesa, Lactancyusza; książąt Kościoła: Atanazego, Wielkiego Augustyna, Chryzostoma i bardzo wielu innych, co pismami swemi przyczynili się do obalenia pogaństwa i zwycięstwa religii chrześciańskiej, — aż do najznakomitszych w tym kierunku dzieł naszych czasów konferencyj apologetycznych Lacordaira, apologii Hettingera, ze stanowiska dogmatycznego, Weissa ze stanowiska moralności chrześciańskiej i wielu innych.

Powyższe jednak dzieła, nie wszystkim są u nas dostępne, przeto podnosiły się często głosy, aby i w polskim języku koniecznie więcej na tem polu pracowano. Pojawiły się nawet tłumaczenia tego rodzaju dzieł z obcych języków, a czasopisma nasze, od czasu do czasu umieszczają bardzo gruntowne nawet artykuły w obronie Kościoła, żałować wszakże należy że tylko dla wykształconego w tym kierunku duchowieństwa są one zroumiałe, dla świeckich zaś osób nawet wykształconych, nawet dla inteligencyi naszego stołecznego miasta okazały się *„za ciężkie, niejasne, niezrozumiałe, niedostępne*“, z doświadczenia to mówimy. Dlatego postanowiliśmy w niniejszem piśmie umieścić szereg artykułów potoczną mową i pojedyńczym stylem opracowanych, aby obronę naszej św. wiary dla wszystkich przystępną uczynić!

Nakoniec zwrócić jeszcze musimy jeszcze na to uwagę, że obrona religii dwojaką być może w miarę, z jakimi przeciwnikami się walczy. Jeżeli bowiem występuje się przeciw tym, co Kościół za instytucyą Boską uznają a tylko niektóre artykuły jego nauki w wątpliwość podają lub przeczą, obrona nazywa się kontrawersyą, i ta na razie nie jest naszym zamiarem. Albo też, walczy się z tymi, co ani istnienia Boga, ani żadnej prawdziwej religii nie przypuszczają, albo przynajmniej Kościół katolicki i jego wiarę jako od Boga pochodzące przeczą, wtenczas obrona nazywa się apologią i w tym kierunku w obronie prawdziwej religii następnymi artykułami stanąć zamyślamy, gdyż lubo pierwsza jest bardzo potrzebna, to drugą zwłaszcza u nas uważamy za tem konieczniejszą.

Obyś tylko łaskawy czytelniku! tyle miał z nich korzyści, ile dla ciebie pragniemy.

---

## Smutne koleje życia.

(Zdarzenie prawdziwe).

Na początku wiosny r. 1845, pierwszy raz powziąłem myśl spisania wpomnień z życia misyonarskiego. Zdrowie moje co tylko wróciło po długiej niemocy skutkiem febry. Mieszkałem w ten czas na wybrzeżu Sussex, w Angli. Cieszyłem się

*

gościnnością tego samego dobrego i szanownego przyjaciela, który dwadzieścia trzy lata poprzednio przyjął mnie na łono Kościoła. Powietrze morskie przywróciło mi niebawem zdrowie. Przechadzać się samotnie, po gładkim piasku o zachodzie słońca, było mojem ulubionem zajęciem; przyglądałem się maleńkim żaglom łodzi rybackich, aż zniknęły na dalekim widnokręgu; śledziłem wspaniały polot mew morskich, jak skrzydłami tykały wzburzonych bałwanów; wpatrywałem się w purpurowe cienia sunące po ciemnem morzu. Siadałem na sterczącym ułamku skały i słuchałem zachwycony szumu bałwanów, które powoli ku mnie się posuwały. Rozmarzony tą muzyką rozhukanego morza, rozmyślałem o dniach upłynionych życia mego, przypominałem sobie rozmaite osobliwe i smutne przygody które przeżyłem. Potem prześliczny księżyc ukazywał się w dali, gdzie niebo i woda niby się łączą, i rzucał jedną srebrną wstęgę światła na ciemnobłękitne wody. Naraz i gwiazdki poczęły migotać i świecić na błękicie niebieskim, — a wszystko to w sposób sobie właściwy wygłaszało chwałę, i majestat swego Stwórcy Wszechmocnego.

Następujące zdarzenie przyszło mi na pamięć właśnie takiego wieczora. Szczególne wypadki, jeden po drugim ożywiały się w pamięci, aż całe zdarzenie stanęło tak jasne, jak gdybym je widział.

W naszych czasach niedowiarstwa zdarzyć się może, że jeden albo drugi z tej nieszczęśliwej klasy ludzi, którzy z bezczelną głupotą i opłakaną zatwardziałością, zaprzeczają skuteczności i prawdy objawionej religii; którzy szydzą z jej zbawiennej władzy i z ubojętnością poddają się myśli jakoby ich dusze w przyszłości miały uledz zniszczeniu; którzy twierdzą że nie ma życia przyszłego i że dusza człowieka zginie jak zwierze polne — być może, że który z tej nieszczęśliwej a licznej klasy przeczyta to opowiadanie: niech w takim razie nie gardzi przestrogą w niem zawartą; niech przyjrzy się niedowiarstwu wyzutemu z mniemanego pancerza filozofii w ostatniej walce z śmiercią. Niech przyjdzie i stanie obok łoża śmiertelnego tego człowieka, który w swej głupocie powiadał,— „nie ma Boga — nie ma życia przyszłego“. Niech widzi jakim przerażającym strachem jest ten człowiek przejęty na myśl życia przyszłego; jak silnie on jest przekonany o tem życiu przyszłem, dla którego, niestety! dotąd nic nie uczynił!

Niech wreszcie przekona się, że niedowiarstwo, to upragnione przytulisko dla zdrożnych umysłów, nie może dać spokoju i pociechy w ostatnich chwilach życia człowieka.

„Pamiętaj na przyszły czwartek“ rzekła pani B. — „Przyjdź punktualnie o szóstej — to dzień naszego wesela. Nad to, ciągnęła dalej, spotkasz naszego kuzyna przy obiedzie. Życzę sobie szczerze, abyś się z nim zapoznał. Wyznać muszę z boleścią, że on jest niedowiarkiem: może będziesz mógł wpłynąć na niego; staraj się uczynić dla niego co tylko można“.

Przyobiecałem, że zrobię co się da, ale bardzo wątpiłem o powodzeniu.

W. wieczór czwartkowy nadszedł mąż pani B, mój stary przyjaciel; w młodych latach byliśmy razem w szkołach i odtąd szczera przyjaźń istniała pomiędzy nami.

Oboje z żoną parę lat przedtem przeszli na wiarę katolicką, a ja miałem szczęście przyjąć ich do Kościoła. Rodziny nie mieli, ale cieszyli szczęściem i zgodą domową w najwyższym stopniu.

Gdy wszedłem do salonu, spotkało mnie, jak zawsze, szczere przywitanie ze strony gospodarza i gospodyni domu. Przybyło jeszcze dwóch gości, a potem spodziewany kuzyn. Był to wysoki szlachetny człowiek, liczył z jakie trzydzieści pięć lat, o subtelnej ale kształtnej budowie ciała. Twarz miał bladą i zamyśloną, czoło wysokie.

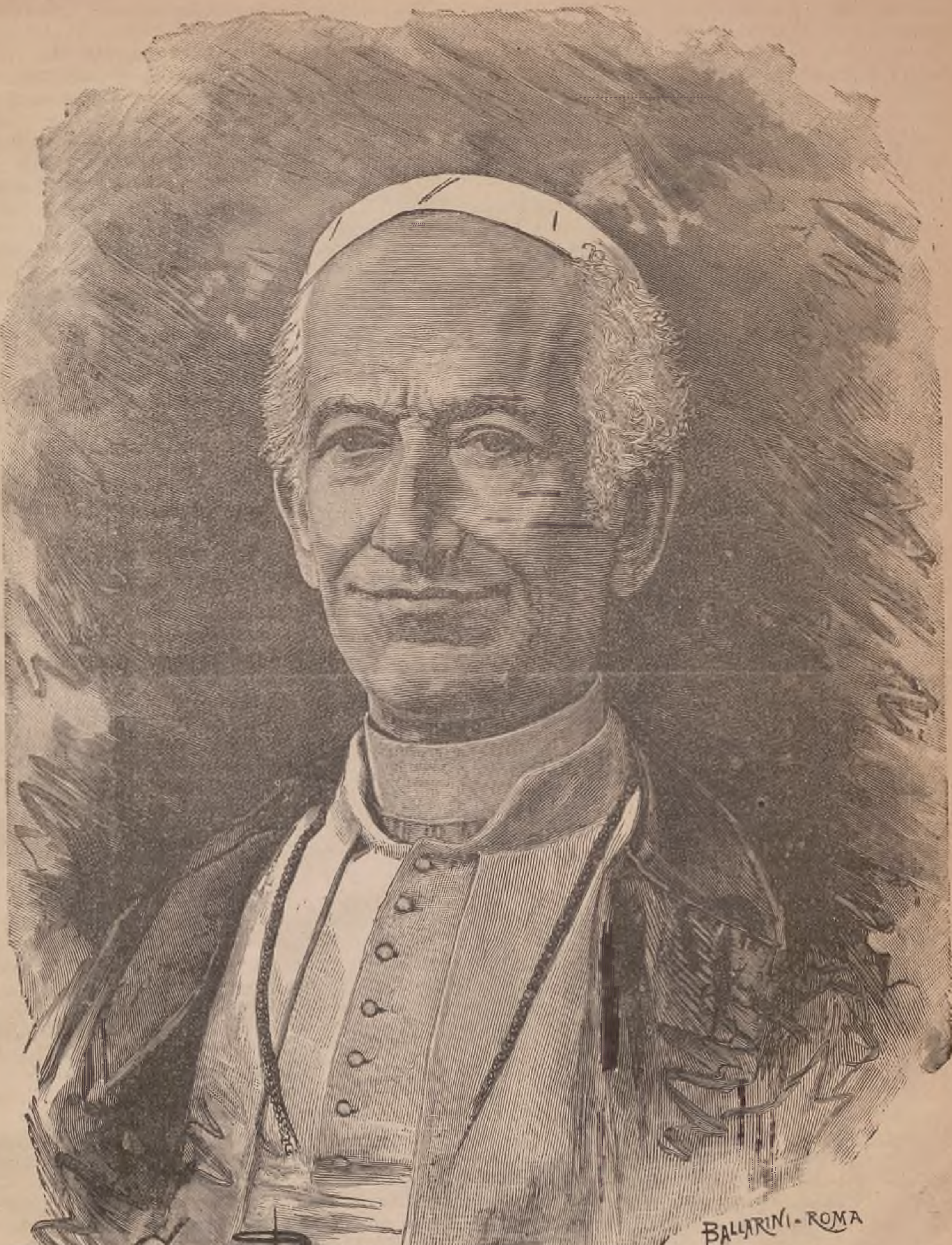
Widocznie obdarzony był wyższym umysłem, a głos jego i uśmiech był nadzwyczaj przyjemny. Pomyślałem sobie, że rzadko zdarzyło mi się spotkać niebezpieczniejszego, albo bardziej ujmującego obrońcę niedowiarstwa. Gdy mnie przedstawiono, nastąpiły zwykłe wyrazy grzeczności, a potem rozmawialiśmy o zwykłych przedmiotach aż do obiadu.

Siedzieliśmy naprzeciw siebie, stąd miałem dobrą sposobność ze spokojem przyparzyć się takiemu niepojętemu stworzeniu, jakiem jest niedowiarek. Obiad minął jak objady zwykle mijają. Gdy usunięto nakrycie i postawiono owoce i wina, wszczęła się wesoła i swobodna rozmowa. Mówiono o wszystkiem, tylko nie o religii. Była mowa o polityce, o Irlandyi — jej usterkach i licznych cnotach, o jej cierpieniach i postępie, o Ameryce, Francyi i o wielu innych na razie interesujących przedmiotach. O tych wszystkich rzeczach pan H., nasz znany niedowiarek, mówił dobrze i płynnie. Miał szczególniejszy dar, że nigdy nie mówił dla pokazania swojej uczoności. Co mówił, było dobrze powiedziane, a nic nad to co było potrzebne, aby cię zaznajowić z rzeczą o której mowa.

Po kawie nastąpiła wyborna muzyka. Nie wiele tego — tak w sam raz. Boethowena prześliczne trio zostało pysznie przedstawione. Pani B. grała na fortepianie, jej mąż na wiolonczeli, a ich kuzyn na skrzypcach. Dalej grano duet na skrzypcach i fortepianie, — duet z najlepszych Pasiellego. Pan H., jako amator, był najlepszym skrzypkiem, jakiego kiedy słyszałem. Tony wydobywał czyste i bardzo podobne do głosu. W ciągu jednego adagio oddał melodyę tak żałośną i przejmującą, że każdy słuchacz niemal do łez był wzruszony. Granie jego dowodziło, że miał serce ciężko smutkiem doświadczone.

Rozmowa zeszła na muzykę. Pani B. oświadczyła mi, że jej kuzyn posiada zbiór starych skrzypców; na to ja odpowiedziałem, że przyjemnie by mi było poznać ten zbiór. Pan H. przystał na to i z uśmiechem odrzeł:

„Słyszałem że pan tak samo jak i ja unosi się nad kremonką. Z przyjemnością powitam pana




J. S. Papież Leon XIII.

jutro u siebie. W ten czas może pan naocznie przekonać się o moim zbiorze“.

Umówiliśmy się o godzinę, o której miałem mu złożyć wizytę, potem odszedłem z uczuciem politowania, dla tego utalentowanego człowieka, pozbawionego jedynej pociechy — tj. wiary — która potrafi osłodzić przykrości i troski tego życia.

Dnia następnego złożyłem mu obiecaną wizytę. Mieszkał w okolicy Bedfordsquare. Wszedłem do biblioteki która parę tysięcy tomów obejmowała; wszystkie byłypięknie oprawne i w dobrym porządku. Niebawem wszedł on sam i zaraz rozpoczęliśmy poufną rozmowę. Mówiliśmy o literaturze, a on wskazywał mi skarby swojej biblioteki. Niemal zazdrościłem mu jego zbioru. Ale w jednej szafce która była drutem ogrodzona i na klucz zamknięta, ze smutkiem zobaczyłem cały szereg francuskich i angielskich książek przeciw wierze. Każde dzieło tych szatańskich umysłów, które chciały podkopać i zniszczyć wiarę chrześciańską, było tam ustawione. Niestety! ile tysięcy może dziś w piekle cierpi skutkiem właśnie takich książek; a jaki straszny rachunek będą ci nieszczęśliwi pisarze musieli zdać na sądzie Bożym za tę truciznę, którą ich pisma w sercach ludzi zaszczepiły! Nawet powietrze tej stancyi, wydało mi się nieznośne, bo zakażone takim zastępem niedowiarków.

„Widzę, mój panie,“ rzekł pan H. „że te dzieła nie przypadają ci do smaku. Ja nie chcę niczyich przesądów obrazić. Te książki, jak pan widzi, trzymam pod kluczem i tylko sam mam do nich przystęp. Ale za to mam rzeczy daleko więcej zajmujące dla pana. Pójdziemy spróbować moje skrzypce.“

Zgodziłem się na to z radością. Pokój w którym miał skrzypce był obszerny i drzewem wykładany. Nie było zasłon, tapetów, sofy, wyścielanych krzeseł — bo to głuszy ton instrumentów. Ale cały pokój wyglądał na salą przeznaczoną dla muzyki; każdy ton słyszałeś doskonale; nie było obawy, że otoczenie go popsuje.

Fortepian doskonały, trzy lub cztery pulpity, parę półeczek na których ułożone były skrzypce, okrywki, stanowiły umeblowanie stancyi. Skrzypce należały do najlepszych. Dwoje, jedne Guarneriusza, drugie Stradiweriusza odznaczały się niezrównaną pięknością tonu. Przykatrywałem się im z uszanowaniem. Ile to pokoleń te delikatne i słabe kremonki przeżyły! Ile królestw upadło i powstało. Ile dynastyj zmieniło się od czasu jak te mało znaczące kawałki drzewa w Kremonie złożone zostały! Ile niezliczonych tysięcy zachwycało się ich wzniosłymi tonami, którzy już umarli i może poszli w zapomnienie! Tajemnica narzędzia muzyki! Sztuka tworzenia ich poszła do grobu, razem z tymi którzy je wyrabiali! Wiedza i biegłość daremnie wysilały się, aby was naśladować — wskrzesić. Sława wasza jest niezrównana!

Zagrał na jednych z swoich najlepszych skrzypców. Akordy czyste, słodkie i melodyjne wypływały z pod jego smyczka; potem z zadziwiającą łatwością i akuratnością wygrywał różne rzeczy, przez co dał mi dowód wielkiej biegłości i niepośledniego talentu muzycznego.

Potem usposobienie jego naraz zmieniło się. Tony przepełniły się smutkiem i żałością — przyszły mu na pamięć przeżyte troski. Później zagrał Nel cor piu. Tu rozwinął melodyę tak przepełnioną żalem i rozpaczą, że przejmowała do głębi serca. Melodyę tę przeplatał tonami, które wydawało się, że wydarte są z serca przepełnionego boleścią rozpaczy; zakończył wdzięcznem rondem.

Na taki objaw uczucia i doskonałości oniemiałem z podziwienia i rozkoszy. Skrzypce wydawały się niejako przyrodzoną jego częścią, za pomocą których umiał najlepiej odmalować usposobienie swego umysłu. Gdyby zechciał być skrzypkiem fachowym, przewyższyłby Paganiniego.

Skończył zmordowany wysileniem.

„Zdarza się rzadko“, rzekł, „że spotykam się z człowiekiem który potrafi skrzypce ocenić. Rozkosze skrzypców są zdumiewające, któżby chciał oznaczyć ich granice! Dla zwykłego oka są to tylko dudy; ale kto słyszał jak Paganini grał, czyż nie pomyślał że te jego dudy powinny duszę mieć? A wy, moje skrzypce, niezawodnie długo mnie przeżyjecie; wasze melodyczne tony będą słyszane, — będą rozweselać innych, gdy mnie już nie będzie, kiedy ta czująca, myśląca podstawa która daje mi istnienie będzie zniszczona — będzie spoczywać w wiecznym śnie śmierci“.

„Mój kochany panie“ odparłem, „jesteś ty pewny, jesteś przekonany, że tak skończy się twoje życie na ziemi?“

„Najzupełniej“ odrzekł. „Dawno już temu pilną nauką i głębokiem rozmyślaniem doszedłem do przekonania, że życia przyszłego nie ma.“

Tu zamyśliłem się na chwilę nad najlepszym sposobem, w jakiby postępować można z tak okropną chorobą umysłową, gdy zważyłem jak wielką potęgą jest pycha umysłowa, postanowiłem na wstępie omijać wszelkie trudności metafizyczne. Jakkolwiek byłem przekonany, że zdołam je zwalczyć, to jednak widząc, że on tak bardzo przywiązany jest do tych rzeczy, wiedziałem że poruszyć te trudności znaczyłoby tem więcej oddalić go od prawdy. Po krótkim więc namyśle chwyciłem się przeciwnego sposobu, a jak moje doświadczenie w tym i w innych wypadkach zawsze mi wykazało, daleko pomyślejszego.

„Pozwól pan“, rzekłem, zapytać się czy to przekonanie zwiększyło Pańskie szczęście?“

„Szczęście“, krzyknął z rozdrażnionym uśmiechem, „szczęście już dawno opuściło moje rozdarte serce. Szczęścia już nie szukam. Ono jest niedorzecznością — snem; a przebudzenie o! jak przykre! Ale przepraszam za takie wyrażenie. Wyrwało mi się, sam nie wiem jak. Zawsze staram się, aby nie obrazić tego, co uważam za przesądy u innych. Moją drogę wybrałem sobie, może ona nienajlepsza, ale taka jaka jest zadowolniła mnie“.

„Ale przecież pan niechciałby umrzeć wyznając zasady niedowiartwa? Widziałem setki

umierających i często byłem świadkiem nadzwyczajnej zmiany w umyśle i sercu człowieka w uroczystej chwili śmierci. Nie widziałem żadnego, chociaż żył jak najrozwiąźlej, któryby w tej ostatniej chwili nie uznał, że jest życie przyszłe i że musi zdać ścisły rachunek temu Bogu, który go stworzył. Szczęśliwi ci, którzy się na tę ostatnią godzinę przgotowali".

„Ktoby chciał o tych rzeczach mnie przekonać, rzekł", gadałbym daremnie; bo przekonać mnie, nikt nie może. A co do śmierci ach! z radością umarłbym zaraz.

Kosztowałem wszystkich tak wielu wychwalanych rozkoszy życia i przekonałem się o ich próżności—oich złudzeniu. Z szałem rzuciłem się w tak zwane uciechy, wnet obrzydły moim podrażnionym zmysłom. Zająłem się literaturą, nauką, podróżowaniem, w nadziei, że przez zmianę zajęcia ulżę sobie nieznośnego ciężaru życia, ale niestety! wszysko daremnie! Oddałem się przyjaźni — zostałem oszukany, zdradzony. Ale mniejsza o to! Widocznie muszę jeszcze żyć dalej — jeszcze dłużej prowadzić to życie znienawidzone. Moja pycha zabrania mi położyć temu życiu koniec, bo to jest dowodem braku odwagi".

Ponieważ na czasie mi zbywało, moja pierwsza wizyta wnet skończyła się. Prosił mnie abym go wnet znowu odwiedził, dodając że chociaż nie zgadzamy się co do religii, to moja znajomość zawsze sprawiałaby mu przyjemność.

Opuściłem go z zasmuconem sercem, że tyle talentów pierwszorzędnych, tyle szlachetnych przymiotów widziałem pogrzebanych w grobie niedowiarstwa. Gdyż w sercu niedowiarka nie ma radości, oprócz takich jak kwiatki bez woni, które dla rozrywki na kawałki szarpiemy; nie ma namiętności oprócz tej która z szałem lub rozpustą graniczy; nie ma lekarstwa, któreby przyniosło ulgę duszy oprócz szaleństwa, obojętności lub rozpaczy. Niech niedowiarek na zewnątrz wygląda spokojnie, na wewnątrz zawsze ma serce zranione i zwiędłe.

Dotąd jednak nie straciłem nadziei jego nawrócenia. Szczerze poleciłem go nieskończonemu miłosierdziu Boga.

Pewnego dnia gdy odwiedzałem chorych, niespodzianie spotkałem go na poddaszu ubogiego Irlandczyka, który powoli wracał do zdrowia po długiej chorobie. Miał nieborak liczną rodzinę — a wszystko, dzieci maleńkie, które w pomoc przyjść nie mogły. Żona także była chora. Winien był zo komorne, a nadto towarzystwo za jakieś wykroczenie przeciw przepisom, wstrzymało tygodniowe wsparcie.

Pan H. przypadkowo dowiedział się o jego nieszczęściu i jak dobry Samarytanin pospieszył, aby mu przynieść jaką ulgę. Zapłacił komorne, dał pieniądzy na zakupienie żywności, a co najważniejsza obiecał nieszczęśliwemu dać zarobek, jak tylko wyzdrowieje. Mąż i żona razem silili się na wyrazy wdzięczności dla niego. W tem wszedłem ja i zapobiegłem jego zamierzanej ucieczce Lecz niebawem i tak odszedł. Dowiedziałem się od tego chorego biedaka, że trudno uwierzyć, ile dobrego czyni ten człowiek, który co tylko wyszedł. Znaczną część swoich wielkich dochodów wydaje na wsparcie ubogich. Dużo wiekiem podeszłych wdów i innych ubogich, których on swoją szczodrobliwością od łaski ubogiego domu wybawił, modlą sie za niego dzień i noc. Słyszałem przedtem o dobrym panu, który nie chciał, aby jego nazwiska wyjawiono. On właśnie był tym panem.

Wkrótce dowiedziałem się o więcej wypadkach szczególniejszej hojności, które pociągnęły mnie do tem większej staranności o jego nawrócenie. Ale żaden plan jakkolwiek starannie ułożony nie odnosił najmniejszego skutku. Kiedy mowa zeszła na przedmiot religijny, on zawsze zachowywał chłodne i surowe umiarkowanie i kierował rozmowę na inny przedmiot. Ale nadziei jeszcze nie traciłem.

Pewnego poranka złożyłem mu wizytę o zwykłej godzinie. Służący oświadczył mi, że pan jego bardzo chory i nie przyjmuje nikogo. Wyraziłem moje współczucie i zapytalem, jak długo już chory, gdyż od tygodnia już się z nim nie widziałem.

„Mój pan," rzekł służący, „wyszedł wczoraj na wieczór zupełnie zdrów i powrócił do domu bardzo smutny. Zaledwo miał tyle siły, aby wyjść z powozu, a co gorsza, przechadzał się po bibliotece całą noc, i wcale nie spał. Gospodyni dziś z płaczem prosiła go, aby poradził się lekarza. Ale on wzbrania się tego uczynić."

Łzy stanęły biedakowi w oczach; widać, że miał wdzięczne serce i łaskawego pana.

Zostawiłem moją kartę wizytową. Tak z godzinę po moim powrocie, otrzymałem list następującej treści:

„Szanowny Panie!

Proszę cię na wszystko co ci święte, przyjdź do mnie niezwłocznie.

Twój, F. H."

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## J. Em. ks. kardynał Lavigerie.

Może imię żadnego z książąt katolickiego Kościoła, nie znajduje się dziś tak często na ustach katolickich i niekatolickich, jak imię ks. kardynała Lavigerie. Na taką zaś cześć słusznie zasłużył sobie ten niezmordowany misyonarz, a to nietylko dla poprzednich zasług położonych na polu rozkrzewienia wiary św. i rozszerzenia cywilizacyi wśród dzikich plemion afrykańskich, lecz także i dla pełnego chwały i nieśmiertelnego dzieła, które zamierzył sobie przeprowadzić, stojąc już na progu starości, t. j. dzieła zniesienia niewoli afrykańskiej. Poznać, chociaż w krótkości przynajmniej, życiorys tak sławnego męża, to przecież rzecz dziś ciekawa i poniekąd potrzebna.

J. Em. ks. kardynał Karol Marcyal Allemand Lavigerie urodził się dnia 1. paźdz. 1825

w francuskiem miasteczku Esprit, w dyecezyi Aire, gdzie ojciec jego był poborcą cłowym. Po ukończeniu nauk gimnazyalnych z postępem znakomitym, poświęcił się młody Lavigerie stanowi duchownemu i wstąpił do seminaryum św. Sulpicyusza w Paryżu, gdzie, gdy w r. 1849 skończył studya teologiczne, wyświęcony został na kapłana. Już jako w słuchaczu teologii przebijała się w nim głęboka wiedza i niezmordowana pilność, dla tego w krótkim zaraz czasie po wyświęceniu, mianowano go profesorem historyi kościelnej w Sorbonie paryskiej. Gdy nadszedł r. 1860 i z nim krwawe utarczki Turków z chrześcjanami w Syryi, rząd francuski wysłał ks. Lavigerie z szczególnemi poleceniami na miejsce widowni tych krwawych scen, a młody profesor wywiązał się z tego zadania ku wielkiemu zadowoleniu dworu francuskiego i zwrócił przez to na siebie jego uwagę. Skutki tej pomyślnej missyi były rozstrzygające dla całego życia ks. Lavigerie. Wkrótce bowiem potem przedstawił go rząd w r. 1862 jako kandydata na stolicę biskupią w Nancy a śp. papież Pius IX. z chęcią go prekonizował. Nie długo atoli pozostawał on na tem stanowisku, gdyż zaledwie 4 lat pracowitego życia spędził na stolicy biskupiej, a już wielkorządca Algieru, marsz. Mac-Mahon prosił cesarza Napoleona, by go skłonił do zajęcia opróżnionej stolicy arcybiskupiej tej zamorskiej prowincyi francuskiej. Zapytany zaś przez Mac-Mahona, czyby raczył przyjąć to stanowisko, odpisał ks. Levigerie: „Proponujesz mi pan missyę pełną trudu i pracy, stolicę biskupią, która pod każdym względem stoi niżej od tej, którą teraz zajmuję, a która wysyła mnie na wygnanie i zmusza zrzec się wszystkiego i opuścić wszystko, co tylko dla mnie jest drogiem. Sądzisz pan, że mogę tam więcej dobrego uczynić, niż każdy inny. Biskup, panie marszałku, może na taką propozycyę dać jedną tylko odpowiedź i dla tego gotów jestem do tej bolesnej ofiary, której odemnie żądają, a jeżeli cesarz apeluje do mego przyzwolenia, to nie będę się ociągał, jakkolwiek wiele mię to kosztuje“. Prawdziwie, apostolskie to słowa!

Przybywszy na swe nowe stanowisko, ks. biskup Lavigerie ujrzał smutny i bolesny widok. Ludność Algieru składała się z Francuzów i Mahometan, z których ani jedni ani drudzy nie mogli rozweselić jego kapłańskiego serca. Perwsi bowiem, prowadzili życie nawskróś niechrześciańskie, drudzy zaś trwali uporczywie w swym fanatyzmie i w żaden sposób nie dali się pozyskać dla chrystyanizmu. Nie mogąc tedy ani jednych, ani drugich pozyskać dla Chrystusa, szukał gorliwy misyonarz innych serc przystępnych dla Ewangelii i czekających tylko na siewcę Słowa Bożego a znalazł je u sąsiednich murzyńskich plemion, które mieszkały koło granic Algieru. Ta praca nie podobała się wprawdzie rządowi francuskiemu i Mac-Mahon otrzymał nawet od tegoż, polecenie przeszkadzania ks. Lavigeriemu w pracy, atoli w końcu zwycięstwo zostało przy ostatnim a sam marszałek musiał przyznać, że duszpasterska praca ks. Lavigerie po za Algierem godną jest wszelkiego podziwu i uznania.

By wśród czarnej ludności Afryki, więcej jeszcze zyskać dusz dla Chrystusa, założył ks. Lavigerie kongregacyę kapłanów-misyonarzy, którzy za teren swej pracy obrali sobie wnętrze Afryki na południe od równika. Z początku było ich trzech, później zaś liczba ich doszła do 300. Z tych 100 już umarło, 11 poniosło śmierć męczeńską, a wielu uległo pod ciosami różnych chorób i klimatu,

Gorliwe usiłowania ks. Lavigeri'ego, jakie łożył koło nawrócenia murzynów do wiary św. nie pozostały bez skutku, a gdy w r. 1888 przybył do Rzymu, by Ojcu św. Leonowi XIII. złożyć życzenia z okazyi Jego 50-letniego jubileuszu kapłańskiego, przywiózł też z sobą deputacyę murzynów, którzy z dziecinną czcią oddali hołd najwyższej Głowie Kościoła. Ojciec św., który właśnie w tym czasie ogłosił encyklikę przeciw niewolnictwu afrykańskiemu, w te odezwał się słowa do obrońcy i opiekuna tych biednych ludzi: „ Szczególnie na ciebie liczymy księże kardynale. Znamy twoją czynną i rozumną gorliwość; wiemy, coś dotychczas uczynił i żywimy nadzieję, że nie spoczniesz, aż swe wielkie przedsięwzięcie doprowadzisz do pożądanego końca!“

Zdawałoby się z tego cośmy dotychczas powiedzieli, że ks. Lavigerie, zajmując się murzynami zapomniał zupełnie o swej dyecezyi, — tak atoli sądzić, byłoby krzywdzić tego czcigodnego ze wszech miar kapłana. I tu bowiem pracował on i pracuje nie mniej gorliwie. Ponieważ mahometańscy mężczyźni zbyt trudni są do pozyskania dla wiary chrześciańskiej, przeto ks. Lavigerie założył „Zgrom. SS. missyjnych“, które mają ten cel, by wpływały w duchu chrześciańskim na mahometańskie niewiasty. Otworzył nadto wiele zakładów wychowawczych dla kleru i młodzieży, a zakony znalazły w nim gorliwego protektora. Wreszcie utworzył wiele nowych parafij i zwołał kilka prowincyonalnych synodów na tej ziemi, na której niegdyś żyli i nauczali św. Augustyn i św. Cypryan.

W r. 1880 przeszedł Tunis w ręce Francuzów, a wówczas J. Św. Leon XIII. przywrócił arcybiskupstwo kartagińskie i ofiarował je ks. Lavigeri'emu, a w dwa lata później, tj. dn. 27. marca 1882 mianował go pierwszym kardynałem „czarnych ludów“.

Że misyonarze ks. Lavigerie nie na darmo leją wodę chrztu św. na murzyńskie plemiona, pokazuje się ztąd, iż nowonarodzeni murzyni w Uganda, gdy w r. 1886 nadeszły dla nich czasy prześladowania, okazali się tak stałymi i mężnymi w wierze, jak pierwsi chrześcianie za czasów rzymskich cezarów.

Słusznie twierdzą Francuzi, że ks. kardynał Lavigerie więcej pozyskał w Afryce czci i powagi dla swej ojczyzny, niż cała armia francuska, mimo to przecież wykreślono mu w parlamencie i po części zmniejszono sumy, dawane przedtem na utrzymanie jego religijnych zakładów, tak, iż kar-

dynał widząc się opuszczonym od swoich, musiał się zwrócić z prośbą do ofiarności katolików całego świata.

Największe atoli swe dzieło zainaugurował ks. Lavigerie w r. 1888, kiedy to przybył do Europy i zachęcał wszystkich chrześcian do krucyaty przeciw niewolnictwu. Jego misyonarze dość mu się naopowiadali o tych krwawych i rozdzierających serce scenach, jakie się odgrywają po dziś dzień w wnętrzu Afryki. On sam przekonał się o tem, na targach niewolniczych, a spostrzeżenia jego stwierdziło wielu wiarogodnych świadków z pomiędzy angielskich i niemieckich podróżników. Spustoszenia, jakie Arabowie czynią wśród biednej ludności murzyńskiej, przechodzą okropnością swą obraz wszelkiego opisu. Dość wspomnieć, że corocznie zabijają ci zwierzęta nie ludzie około 2 miliony biednych murzynów, by kilka tysięcy dzieci i niewiast powlec na targi wschodniego wybrzeża Afryki i tam je sprzedać. Gdy dalej to potrwa, wówczas wnętrze Afryki zostanie zupełnie wyludnione, a cała odpowiedzialność spadnie za te zbrodnie na cywilizowane ludy Europy, które obojętnem okiem patrzą na tę grozę mordu i spustoszenia. Kardynał Lavigerie wzywa tedy całą chrześciańską Europę, by postawiła kilkaset lub tysięcy ludzi, którzyby wysłani do środkowej Afryki, mieli col bronienia biednych murzynów przed krwiożerczymi, nieludzkimi handlarzami arabskiemi. Jak koło tej zbożnej pracy krząta się od roku przeszło, gorliwy ten misyonarz, to zbyt każdemu wiadomo, abyśmy tu mieli wszystko o tych jego zabiegach powtarzać, co dzienniki krajowe i zagraniczne swego czasu pisały. Opuszczając tedy znane już jego starania około zwołania międzynarodowego kongresu antiniewolniczego, dołączamy tu list kardynała, przesłany roku ubiegłego Dyrektorom „Stowarzyszenia rozkrzewienia wiary“, w którym przezacny ten prałat w żywych a prawdziwych kolorach opisuje nędzę plemion murzyńskich i całą grozę polowania na niewolników, oraz haniebnego handlu tymi biednymi ludźmi.

## List JEm. Kard. Lavigerie
### do dyrektorów „Stowarzyszenia rozkrzewiania wiary“
### o niewolnictwie w Afryce.

W każdej okoliczności uznaję nad sobą prawa waszego wielkiego stowarzyszenia, jednak tym razem czuję się jeszcze większym jego dłużnikiem. Zniesienie niewolnictwa i *rozkrzewianie wiary* w ścisłym zostają zawsze stosunku na naszym kontynencie. Ale jak z jednej strony niepodobnem jest dla misyonarzy, nawracać skutecznie te wielkie przestrzenie zakurzone obecnie pościgami za niewolnikami, tak z drugiej, nie widzę również podobieństwa wyniszczenia niewoli bez pomocy z Europy; spodziewam się tedy, że wasi członkowie przyczynią się do tego dzieła miłosierdzia. Mogąż być obojętnymi, kiedy się w tym celu do nich odzywam?

To powiedziawszy, przystępuję do rzeczy w nadziei, że moje opowiadanie wzruszy Waszych Czytelników. Będzie ono dokładnem i obszernem, o ile miejsce pozwoli. Chcę wam dać jasne wyobrażenie o stanie rzeczy, o czem mało kto wie. Dla większej dokładności, dzielę mój memoryał na dwie oddzielne części, a mianowicie przedstawię:

1. Rozległość i grozę niewolnictwa w Afryce.

2. Początek, charakter i zamiary „Stowarzyszenia“ mającego na celu zniesienie niewolnictwa.

Według tego planu będę może nieco za rozwlekłym w opowiadaniu, będzie ono w każdym razie bardzo smutnem. Kładę nacisk na to ostatnie słowo, bo mam mówić o nędzy bezmiernej tych biednych czarnych. W gruncie będzie to to samo, co już z kazalnicy głosiłem, ale obszerniej i dobitniej wykazane; chcąc prawdę przedstawić, faktów zmieniać nie można.

*Rozległość i groza niewolnictwa w Afryce.*

Zaczynam moje zdanie sprawy przedstawieniem istotnego stanu niewolnictwa w Afryce.

Otóż mając kartę przed sobą, rozdzielmy ją na trzy części. Środek stanowią wysokie płaszczyzny, wznoszące się do znacznej wysokości nad kontynentem, zamieszkałe do ostatnich lat przez ludność najliczniejszą i najszczęśliwszą. Z powodu wysokiego wzniesienia, klimat tam łagodny, powietrze zdrowe, ziemia przytem jest żyzna.

Dwie inne części leżą na lewo i na prawo od wyżyn. Na lewo strona zachodnia rozciąga się wzdłuż Oceanu Atlantyckiego. Na prawo część wschodnia dotyka Oceanu Indyjskiego. Część zachodnia jest właśnie bardzo zniszczoną przez handel niewolników. Na brzegach to Oceanu Atlantyckiego ładowano na okręta ten żywy towar i wywożono do Ameryki. W tych to okolicach odbywały się łowy na człowieka, przypominające największą nędzę i poniżenie rodu ludzkiego.

Odkąd zniesiono niewolnictwo w Ameryce, jest ono uważane przez wszystkie mocarstwa na równi z korsarstwem. Strona zachodnia nie dostarcza już niewolnika. Trudniący się tym handlem ustąpili z widowni; a chociaż istnieje w tych okolicach niewola, to tylko na gruncie wśród rodzin lub u dzikich pokoleń; są to raczej wyjątkowe zwyczaje krajowe: porywanie słabszych, czarnoksięstwo wyzyskujące na swą korzyść zabobonność; nareszcie ludożerstwo, które dowodzi, jak nisko człowiek upada, skoro folguje swoim zwierzęcym namiętnościom. Te zbrodnie, choć nierzadkie, nie są przecież tak powszechne i liczne, aby dorównały pladze, jaką jest „handel niewolnikami«.

Ta plaga panuje teraz we wschodniej stronie Afryki, wzdłuż Oceanu Indyjskiego i morza Czerwonego i zbliża się coraz więcej do wysokich płaszczyzn środkowych. Wzrasta olbrzymio i przepowiada całkowite wyplenienie czarnej rasy. Rozszerzenie tej plagi pochodzi pierwotnie z tradycyj muzułmańskich północnej Afryki, Egiptu i Turcyi azyatyckiej. Mahometanie, wskutek rozwiozłego życia, bezsilności i lenistwa, nie mogą się obejść bez

niewolników, którzy wlewają w nich swoje siły i krew. W Konstantynopolu i w innych stolicach Islamu, jak w Egipcie i niegdyś w Tunisie, są to kobiety porwane z Czerkasyi, w Afryce — czarni. A pomimo, iż liczba przywozu wynosi roznie do 500.000 dusz, ludność jednak kraju nie powiększa się; luźność i miękkość obyczajów i tychże złe skutki gubią więcej ludzi, niż haniebny handel dostarcza.

Na teraz poprzestaję na tym obrazie, bo chcę na razie wykazać, z której części Afryki wywożą najwięcej niewolników, dokąd ich prowadzą, aby czytelnik miał dokładne wyobrażenie o tej staszliwej klęsce.

Zacznijmy zatem od części Afryki najwięcej na północ wysuniętej; dosięga ona do południowych krańców Sahary, obejmuje Sudan i państwa tam powstałe z początkiem tego wieku. Przed pięćdziesięciu laty, kiedy oczy nasze gdzieindziej były zwrócone, Mahometanie zagarnęli pomału, bez odgłosu, z niezmordowaną wytrwałością, prawie połowę Afryki, a nawet w najbliższych od nas okolicach pozakładali państwa, których jednak granice często sią zmieniały dla częstych wojen. Takimi są: Bongo, Darfur, Wadaj, Bornu, Sokoto, Gandu, wszystkie położone nad Nigrem okolice jeziora Cad, od Tombuktu aż do Szoy, do Abissynii i Egiptu. Wszystkie te kraje były teatrem barbarzyńskiego, obmierzłego handlu niewolników.

Tam sami sułtani trudnią się tym handlem ludzkim. Sprzedaż własnych poddanych utrzymuje ich wojsko, wzmaga dochody państwa, dostarcza zbytku. Ażeby pogodzić się z koranem, wynaleźli całkiem piekielne zasady. Podług tej księgi muzułmanin nie może być niewolnikiem, od Boga bowiem ma prawo rozkazywania, zostania wolnym; tylko niewierny może służyć. Gdyby więc czarni Sudańczycy przyjęli mahometanizm, książęta nie mogliby z nich ciągnąć korzyści sprzedając ich. Zatem zmuszają przemocą do przyjącia islamu (co u nich jest jedynym sposobem nawracania), niektóre tylko więcej wojownicze plemiona, reszta pozostaje towarem zapasowym dla swego pana, kiedy potrzebuje napełnić złotem swoje skrzynie, opłacić oficerów, nabyć broń — jednem słowem — kiedy potrzebuje zasiłku, wtedy uskutecznia się w różnych prowincyach obława na niewolnika. Chwytają naraz tytiące tych pogan, mężczyzn, kobiet i dzieci, prowadzą w żelazach przez puszcze na targi do Maroko lub do Fezanu i Egiptu, gdzie w porozumieniu z Mahdim i baszami tureckimi, opłaciwszy pogłówne, dostarczają tego towaru ludzkiego, pomimo traktatów, jak naprzykład w krajach podległych Turcyi.

Przeczą temu niektórzy, ale ja, jako kapłan chrześciański, wypowiadam głośno tę prawdę. Nie sam jeden jednak to mówię, tak opisują wszyscy podróżnicy. Dosyć przytoczyć ustępy z ich podróży, pomijając już co donoszą nasi misyonarze, bo tym chcianoby zawsze przeczyć, ale zobaczymy co mówią wolnomyślni i protestanci.

Oto co pisze Nachtigal w swojej wycieczce po Fezanie, z Muzruku, stolicy tureckiej prowincyi:

„Trudności, jakie napotyka handel niewolnika, zrujnowały Fezan. Mimo to handel ten, wbrew zakazowi i trudnościom, jest ulubionym handlem tego kraju. — *W oczach muzułmanina jest on zawsze uprawnionym*, a ile razy naczelnik prowincyi może go prowadzić bezkarnie, *zamyka oczy na resztę*, protegując nawet nadużycia, skoro idzie o jego własny interes, co wiedząc kupcy, chętnie podają mu do tego sposobność.

Tamtejsre rządy zawsze są obdłużone, mało płacą albo wcale nic swoim urzędnikom, ci szukają zapłaty w interesie, który się całkiem zgadza z ich przekonaniami religijnemi.

Namiestnik Fezanu za każdego dostarczonego niewolnika dostaje dwa *mahabubs* (t.j. 9 fr. 45 c.), co mu rocznie czyni mniej więcej 50.000 franków dochodu.“

Po Nachtigalu posłuchajmy Niemca i także protestanta Schweinfurtha:

„Po zajęciu Kordofanu, pozwolił Mehmet Al na handel niewolnikami u Nubasów, zalecał go nawet i to stało się źródłem dochodów państwa. Z części tego dochodu uformował regiment czarnych, drugą częścią popłacił swoich urzędników i służbę“. — Dalej mówi:

„Przepędziłem ośm miesięcy nad morzem Czerwonem, przebiegając brzegi Nubii i Egiptu; kwitnie tam bardzo handel niewolnikiem; spróbowałem zaskarzyć, nie miało to lepszego skutku, jak skargi moich poprzedników. Konsul z Dżedy i inni nie chcieli zakłócać polityki europejskiej, a co w Portugalii i Hiszpanii uważano za zbrodnię korsarstwa, to dozwolonem zostało Arabom. Żaden statek strażniczy nie krąży na morzu Czerwonem. Najmniejszy statek działowy zaalarmowałby oba brzegi i wstrzymał częściowo haniebną trafikę“.

Nie dość na tem.

W tychże okolicach Sudanu, Tuaregi, nowocześni korsarze, dopełniają dzieła książąt. Rzucają się oni z głęci Sudanu na wsie czarnych w Bambaro, porywają kobiety, dzieci i prowadzą je wśród niepojętych cierpień aż do oazy najbliższej naszych posiadłości. Taki jest stan Sudanu. (*C. d. n.*)

# Własność i nędza.

(Studyum społeczne).

## I.

Kiedy Proudhon, sławny anarchista tegoczesny, okazał że idea Boga i zasada powagi powinna być wyrugowaną z społeczeństwa ludzkiego, uderzył on dalej z tą samą gwałtownością na wrzekomy przesąd dzisiejszych narodów, na uszanowanie własności. Według niego, nowa moralność bez Boga i praw winna zastąpić moralność opartą na pojęciu o Bogu, a anarchia zająć mieisce tyrańsuiej zasady o powadze jednego człowieka lub zbiorowego kollegium. Ona ma być socyalnem

prawem nowych ludów, a bezwzględna równość wszystkich obywateli, oparta na zniesiieniu własności i wypisana na jej szdandarze już od czasów rewolucyi francuskiej, ma się urzeczywistnić i sprawdzić mocą koniecznego rozwoju pojęć i wypadków.

„Gdybym miał — pisze Proudhon — odpowiedzieć na zapytanie, co to jest niewolnictwo, a odpowiedziałbym na nie, jednem słowem, że jest to morderstwo ludzi, to myśl moja byłaby całkiem zrozumiałą. Nie potrzebaby żadnej długiej mowy, by wykazać, iż gwałt zadany myślom, woli, i osobistości, jest gwałtem wywartym nad życiem i śmiercią i że przez to czyni człowieka niewolnikiem i zabija go. Czemuż nie mogę i na drugie pytanie: „czem jest własność?“ odpowiedzieć z tą samą pewnością zrozumienia, że jest to kradzież, chociaż między pytaniem a odpowiedzią w tym drugim wypadku nie ma głębszej rozpadliny jak w pierwszym.

Tak jest, wszyscy ludzie wierzą i powtarzają to, iż równość warunków życia identyczną jest z równością praw i że własność i kradzież, są słowami równoznacznemi; że wszelkie społeczne przodownictwo, które się otrzymuje a raczej przywłaszcza sobie pod pretekstem talentu lub zasługi, jest niesprawiedliwością i rozbojem. Wszyscy ludzie, powtarzamy, poświadczają tę prawdę, chodzi tylko o to aby ją uczynić dla nich zrozumiałą [1]).

Temi słowy postawił Proudhon z bezwzględną jasnością tezę o równości, z przymieszką nie małej dozy swego widzimisię i swej zarozumiałości.

„Określenie własności do mnie należy, a całe moje pragnienie sławy polega na tem, by wykazać że zrozumiałem jego i treść zakres. Własność jest kradzieżą. Od dwóch tysięcy lat nie wypowiedziano nad te 2 słowa nic ważniejszego. Nie posiadam na tej ziemi żadnego innego majątku nad to określenie własności i śmiem twierdzić, że wygłoszenie tegoż jest jednym z najważniejszych wypadków z czasów panowania Ludwika Filipa“ [2]).

Nie są to już, jak widzimy, zdania Fourier'a i Simon'a, bo ci uznawali nierówności ludzi, jako rzecz naturalną nie dającą się usunąć, a żądali tylko ograniczenia własności. W imię swej filozofii społecznej żądają oni zniesienia wszystkich przywilejów rodowych bez wyjątku, za którem iść powinno zniesienie prawa spadkowego, gdyż takowe jest obecnie największem z wszystkich przywilejów i pozostawia przypadkowi rozdzielanie korzyści społecznych, podczas gdy drugą najliczniejszą część, wystawia na nieświadomość, nędzę i zbyt często na pogardę.

Żądają dalej, by wszystkie płody pracy wraz z dobrami ziemskiemi, które dziś tworzą pokawałkowany fundusz prywatnej własności, były złączone w jeden fundusz społeczny i by takowy drogą associacyi i to nie drogą hierarchiczną był rozdzielany w ten sposób, że przydzielona każdemu cząstka, byłaby zarazem miarą jego pracy, określeniem jego bogactwa i zdolności.

Pierwszy uczeń St. Simona, Enfatin teoryę tę określił następującem zdaniem: „St. Symoniści o tyle tylko dotykają instytucyi prywatnej własności, o ile ona dostarcza niektórym bezbożnego przywileju lenistwa, to znaczy, życia na koszt pracy drugich i pod moc przypadku urodzenia, poddaje społeczną klasyfikacyę jednostek.

Proudhon jest socyalistą, z gwałtownością przeto napada na ten komunizm St. Simonistów, którzy z małemi zresztą ograniczeniami, chcą pozostawić zasadę społecznej nierówności i własności.

Prócz Proudhona i St. Symonistów są jeszcze i inni, tak zwani Kollektywiści, którzy jako wrogowie kapiłu i własności, idą za tym samym niezdrowym prądem i dążą na drodze podstępu i gwałtu do tych samych celów.

Głóną zasadą kollektywizmu jest zbiorowe wywłaszczenie kapitalistów, i zbiorowe przywłaszczenie sobie kapitału i środków produkcyi.

Nauka tych rewolucyonistów, którzy Europie grożą cofnięciem się w czasy barbarzyństwa, jawnie wygłoszona została niedawno w pewnym manifeście, który ukazał się w Paryżu. Czytamy tam te słowa: „W politycznym porządku żądamy zniesienia państwa, powagi, rządu, jakiekolwiek byłoby jego imię, forma i posiadacz, a zastąpić go ma wolna federacya wolnych i z własnej woli połączonych producentów, t. j. anarchia. W porządku ekonomicznym domagamy się zniesienia indywidualnej własności i powagi kapitalistycznej a całe społeczne bogactwo ma być oddane do rozporządzenia wszystkim i to tak, iż każdy pracując według swych zdolności, może z niego brać do woli i miary swych potrzeb, t. j. żądamy komunizmu.

W tym manifeście znajdujemy przeto obydwie główne zasady Proudhona: komunizm i anarchą.

## II.

Socyaliści ośmnastego stulecia z czasów wielkiej rewolucyi, uzasadniali swe teorye równości, spekulatwnemi badaniami ludzkiej natury. Morelly, Linguet, Mably i inni marzący filozofowie, dręczeni ideałem himerycznego społeczeństwa, przygotowali tryumf równości i pragnieniu podziału, a argumenta ich są zawsze jedne i te same, chociaż w rożnej obrabiane formie. Pierwsi właściciele, mówią oni, i pierwsi książeta byli złodziejami i rabusiami, a ta nie zatarta plama pierwszej kradzieży pozostaje po dziś dzień na własności będącej w rękach posiadaczy. Natura stworzyła wszystkich ludzi równymi, jest świętem zaś i nietykalnem prawem, zastósować się do natury, przestrzegając tej równości, i dobra ziemskie rozdać w równym podziale obywatelom.

Każdy rząd, który broni zasady własności,

---

[1]) Proudhon, Qu'est-que la propriete? Ch. I. [2]) System des contradictions economiques. T. II p. 239. Niesłuszną jest ta własna chwała Proudhona, jakoby on pierwszy dał takową definicyę własności, gdyż na 60 lat przed nim powiedział Brissot (Recherches philosopl. sur le droit de propriete), że wyłączna własność jest kradzieżą.

mija się z swym celem, uwiecznia bowiem społeczną nierówność obywateli, popiera z jednej strony bogactwo, z drugiej strony nędzę, podsyca nienawiść wydziedziczonych i zuchwałe roskoszowanie tych którzy obfitują w pełności bogactw. Taki rząd nie odpowiada nietylnym wskazówkom natury ani potrzebom społecznego porządku i osądzony jest na zagładę. Oto jest ekonomiczny system najwybitniejszych filozofów 18 wieku. Są oni poprzednikami i heroldami teoryj równości Proudhona i anarchistów, jednak zasługa oryginalności nie im się należy.

Kiedy bowiem w r. 1524 chłopi z Szwabii Turyngii i Frankonii zbuntowali się przeciw swym kościelnym i feudalnym panom i pobudzeni przez Münzera, tudzież socyalistycznemi kazaniami Stork'a, jako nowochrzceńcy krwawą rozpoczęli walkę, która wielką część Niemiec mieczem i ogniem spustoszyszyła, chwycili oni wówczas za broń w imię powszechnej równości, która później stała się hasłem utopistów w dniach rewolucyi. W szeregach ówczesnych powstańców znajdowało się wielu niezadowolonych ze swego losu, fanatycznych głupców a ci wszyscy zapisywali się pod chorągwie tych tajnych towarzystw, które naczelnicy zawiązywali w ciemniach Czarnego lasu. Byli tam także fałszywi mistycy, podburzani deklamacyami ognistemi pierwszych zwolenników reformacyi. Wszyscy atoli hołdowali tej samej idei, szli zatem samem urojeniem, a pierwszy artykuł sekty nowochrzceńców opiewał iż wszystkie dobra należą do wspólnego majątku wszystkich członków towarzystwa i że każdy kraj w którym nie ma takiej wspólności sprzeciwia się ustrojem swym ekonomicznym, prawdziwemu chrześciańskiemu duchowi.

Ci socyaliści średniowieczni, powstali w imię Ewangelii i odwoływali się na przykład gmin apostolskich. Socyliści zaś obecni chwytają za broń w imię społecznego rozumu i wrzekomych praw natury. Jedni atoli jak i drudzy, goniąc za temi samemi ulubionemi marzeniami, chcą przez zniesienie własności wszystkich ludzi zrównać, pod względem korzystania z dóbr ziemskich.

Tymczasem wystarczy zrobić tu mały tylko rachunek, by poznać, że właśnie te antispołeczne nauki doprowadziłyby do równości, ale w nędzy i niedostatku a przyobiecywany przez socyalistów wiek złoty, nie byłby niczem innem, jak niebezpieczną himerą. Weźmy n. p. na uwagę Francyę. Ogólna produkcya Francyi wynosi około 18 miliardów, czego na daniny i podatki odpada 3 miliardy. Nadto trzeba i to obliczyć, co wychodzi po za granicę. Jeżeli zaś to drugie wypuścimy z rachunku, to utrzymamy 15 miliardów, które należałoby rozdzielić pomiędzy 36 milionów Francuzów. Dla każdego wypadłaby ztąd kwota 400 i kilka franków, czyli 22—23 sous'ów na dzień [1]).

— Nie mniej podział dóbr i społeczne zrównanie pod względem majątkowym, te marzenia, które dzisiaj zaprzątnia tyle umysłów skłonnych do rozruchów a które w rękach ludzi chciwych sławy, swą bronią wyzyskującą łatwowierność publiczną, i one wprawiłyby ubogiego i robotnika w daleko nieszczęśliwsze położenie, od tego w jakim się dzisiaj ci ludzie znajdują, chociaż są pod panowaniem prawa własności.

Te atoli najpewniejsze rezultaty państwowej gospodarki, wcale nie obchodzą socyalistów. Ciągle przeto podnoszą oni dziki okrzyk przeciw społeczeństwu i przeciw własności a cały ich system zniszczenia, nosi charakter nieprzebłaganej nienawiści, która właśnie odróżnia ich od humanitarnych i mistycznych teoryj, dawnych szkół socyalistycznych.

# Zdanie protestanta

## o pomniku Giordana Bruno.

O pomniku, jaki w roku zeszłym włoscy ateiści wystawili w Rzymie, Giordanowi Bruno, miał, jak donosi „Koln. Volkszeit.“ niedawnego czasu liberalny profesor protestancki holandyjskiego uniwerytetu w Groeningen p. van der Vyck następujący charakterystyczny wykład: „Pomnik ten — mówił on — jest symbolem, który podobnie jak czerwona chorągiew komuny, łączy i rozdziela ludzi. Zapytajmy się liberałów o znaczenie pomnika Brunona, a odpowiedzą nam, że jest to pamiątka intolerancyi. Zapytajmy się o niego katolików, a powiedzą nam, że jest to oddanie hołdu herezyi, uczczenie rewolucyi i walki przeciw chrześciaństwu. Zapytajmy się filozofa, a odpowie nam: ten pomnik, którego odkrycie zgromadziło w Rzymie bardzo wielką część ludu włoskiego, podczas gdy druga część zamknęła domy, jakby w dniu narodowego smutku i jakby błagała Boga o pomoc w utrapieniu — ten pomnik, nie jest wcale uczczeniem osoby Brunona. Nie zna się bowiem ani jego osoby, ani jego nauk. Kilku zaledwie uczonych zajęło się tem, a tysiące, które były obecne przy odkryciu pomnika, nic z tego nie rozumiały. Wydział komitetu zajmującego się jego wystawieniem powiedział: jeżeli Dante był największym poetą, to Bruno był największym filozofem. Lecz to nie prawda. Tomasz z Akwinu był daleko głębszym myślicielem. W dziejach nauki, Bruno nic nie znaczy. Użyto tylko

[1]) Liczby te nie podają atoli wiernego obrazu stosunków, którcby nastąpiły, gdyby produkcya była przez państwo uporządkowaną i owoce jej rozdzielane. W tym bowiem wypadku wystąpiłoby do rachunku jeszcze i wiele innych czynników. Jakby na dane hasło, stanęłyby wszystkie fabryki dostarczające płodów zbytku, gdyż niktby nie miał tyle pieniędzy, by sobie pozwalać na zbytek. Produkowanoby więc wówczas mniej a producenci musieliby się rzucić do innych gałęzi produkcyi. Jakby się wówczas ukształtowały stosunki, trudno przewidzieć, prawdopodobnie gorzej. Ale, by zniweczyć te illuzye, które się tworzą w głowach mniej wzbogaconych na widok osób, które stosunkowo mało pozwalają sobie na zbytki, to już te liczby wystarczą. Widzi się przed sobą niezmierne bogactwa i spodziewa sie ogromnych kapitałów. Tymczasem wypadłoby najwyżej na każdego po 400 franków, a każdy rozumie się, musiałby tak samo pracować jak teraz, a praca i w nowych, całkiem przekształconych stosunkach, zatrzymałaby ową wartość którą i teraz posiada.

imienia jego, jako wojennego hasła przeciw katolickiemu Kościołowi i papieżowi, a nawet sam wielbiciel Brunona, Morselli przyznał, że tenże wyśmiewał katolicyzm jako zabobon, że nienawidził chrystyanizmu i wyszydzał judaizm, jako jego źródło. — A przecież i dziś, naraża się na niebezpieczeństwo dostania się do więzienia ten, kto wyszydza i wyśmiewa to, co dla milionów ludzi jest świętem. Chociaż ganimy wszelki przymus w sprawach religijnych, nie idźmy jednak za daleko. Zarzucać Kościołowi katolickiemu, że w wieku 16 inaczej karał, niżby to dzisiaj czynił, wydaje mi się czemś szczególnem. — Tak przeto pomnik ten ma oznaczać: że Kościół, którego Głowa najwyższa mieszka w Watykanie, pali heretyków na stosie. To zaś jest nieprawdą. Jeżeli Kościół palił heretyków, to tegoby dzisiaj nie czynił, nawet chociażby papież posiadał świecką władzę. Pomnik ów wcale nie nadaje się do tego, by pojednać Kościół katolicki z rządem włoskim, a wyrzut przezeń zamierzony, nie jest na miejscu. Czasy bowiem się zmieniły. W dawniejszych wiekach usuwano prędzej niż dzisiaj przeciwników. W wiekach średnich zasądzano na śmierć bez długich korowodów tych, którzy rozsiewali socyalno-demokratyczne zasady. W krajach protestanckich zarówno jak i w katolickich skazano na tortury wiele osób, ponieważ je oskarżono, że zaprzedały duszę swą czartu. Jeszcze w r. 1712 spalono w Anglii jednę czarownicę. — By zrozumieć co zaszło z Brunonem, trzeba na wypadki patrzyć się z punktu widzenia historycznego, a wtedy łatwo nabrać przekonania, że kara, którą wycierpiał i ten, który chciał ośmieszyć katolicyzm i chrystyanizm poddać w podejrzenie, była zupełnie słuszną i z a s ł u ż o n ą. Gdyby on mógł powstać, byłby pierwszym, którybynam powiedział: Nie dziwujcie się temu, że ja syn wieku nietolarycyjnego i chciwego ucisku, stałem się ofiarą nietolerancyi. Ja sam byłem bez tolerancyi i chciwym prześladowania. Nie sądźcie, bym był łagodniejszym od tych, których nazywacie moimi katami. Byłem wolnomyślnym, alem nie znosił, by innym wolno było myśleć według swej woli i nie tak jak ja; nazywałem ich najgorszymi robakami, które zniszczyć należy i mówiłem, że trzeba się z niemi obchodzić z mniejszem współczuciem, jak z wilkami i wężami; zalecałem jako dzieło godne zasługi, pozbycie się tych oszustów, jako zarazy i nędzy. Dodawałem jeszcze: że śmierć dla nich, jest karą jeszcze nie wystarczającą, że ich dusza musi po śmierci przejść w trzodę chlewną. Z tych wszystkich przeto powodów, nie słuszną jest rzeczą, by z stosu ustawionego dla mnie w r. 1600, robić w r. 1889 machinę wojenną, wymierzaną przeciw Rzymowi.“

Następnie wyłożył mowca, swe wolnomyślne stanowisko wobec katolickiego Kościoła, uznał słuszność postępowania jego i wydał zdrowy sąd o zakazie czytania złych książek, zgubnych pod względem religijnym i moralnym, opierając swe zdanie na tej zasadzie, iż sprawy duszy są najdroższe. „Może nie wierzycie — mówił dalej — że herezya szkodzi duszom, ale Kościół w to wierzy i na podstawie tego rezerwuje sobie prawo, nakładania milczenia tym, którzy głoszą błędne nauki. To prawo przyznane mu zostało przez najmędrszych ludzi i przez najłagodniejszego z wszystkich katołików średnich wieków, przez wielkiego Tomasza z Akwinu. Cały świat zrozumie, że czasy wykowania tego prawa już minęły(?) — lecz papież jest zawsze najwyższą duchową głową milionów wiernych katolików, a pokazują się znaki czasów, które przywołują nam na pamięć przepowiednię Maculay'a, że Kościół katolicki stać będzie, chociażby Londyn przez trzęsienie ziemi zniknął, jak Niniwa i Babilon. Ci którzy uważali za stósowne niepokoić i zasmucać papieża, wystawiwszy pomnik herezyi w cieniu jego tronu, w stolicy katolicyzmu, w mieście Bogu poświęconem, powinni się byli zapytać siebie, czy to politycznie, czy to patryotycznie, siać nienawiść ku młodemu królestwu włoskiemu w sercach milionów katolików, po całej kuli ziemskiej rozprószonych. Lecz działali oni wbrew własnej woli, człowiek bowiem porwany przez swe namiętności, nie działa jako wolna i rozumna istota.“

„Ciągle się mówi o nietolerancyi wiary, lecz coraz więcej potrzebniejszem jest, przypominać sobie nietolerancyę innego rodzaju, t. j. niewiary. Nietolerancyi ateizmu w Francyi i gdzie jndziej, nie podoba się, te place i ulice noszą historyczne nazwiska i zastępuje się je imionami, które nic nie oznaczają. Intolerancya ateizmu, chce z publicznego życia i narodowych urządzeń wygnać wszelki ślad chrześciańименstwa, chociaż połowa narodu jest chrześciańską; ta sama nietolerancya pragnie pod fałszywym pozorem wzmocnienia wojska, zmusić seminarzystów nosić karabin i tornistrę i wypędza także zakonnice ze szpitali mimo obrony lekarzy, według zdania których, najemnicy nigdy nie potrafią oddać tych usług bliźnim, co pierwsze. Możnaby zapytać się radykałów, czy są zupełnie pewnymi, że ludzkość uratowaną zostanie, że postęp będzie zapewniony, jeżeli wszyscy podobnie, jak Bruno, znajdą katolicyzm śmiesznym, a chrystyanizm podejrzanym. Mówią oni: odtąd miłość ojczyzny jest naszą służbą Boga, nierozerwanem węzłem, który nas łączy, lecz ci, którzy pragną cel ten osiągnąć, powinni się strzedz, chwytać się sposobów, które są dowodem najjawniejszej nietolerancyi i które synów jednej i tej samej ojczyzny rozdzielają na dwa przeciwne sobie obozy.“

# Legenda z Judei.

Pewnego wieczora w Judei, kiedy zachodzące słońce odbijało jeszcze jasne swe promienie o silne wieże i potężne mury miasta Jeruzalem, w jednej z tych pięknych dolin, gdzie rosną cytryny, pomarańcze i drzewa oliwne, w cieniu delikatnych ich liści leżał na miękkiej murawie Ezra, artysta z Judei. Twarz jego promieniała zachwytem, a oczy, utkwione w wspaniały błękit nieba, szukały wymarzonego ideału w dalekich przestworzach. Słońce zniżało się coraz więcej, zmrok już zapadał, w powietrzu nastała uroczysta cisza — a Ezra, marzył jeszcze.

Nagle ocknął się z zadumy. Odgłos wielu kroków i echo licznych głosów, wieczorną przerwały ciszę. Powstając, spostrzegł zbliżający się tłum ludu,

złożony z mężczyzn, kobiet i dzieci. Nieśli palmowe gałązki — wołając jednogłośnie: *Hosanna Synowi Dawidowemu! Hosanna Synowi Dawidowemu!* A skoro się zbliżyli, Ezra spostrzegł Wielkiego Proroka Jezusa z Nazaret, jadącego w pośród nich na ośle. Pierwsze wejrzenie rzucone na cudną twarz Mesyasza, zachwyciło duszę artysty. Przyłączył się tedy do tłumu idącego do Jerozolimy, rozkoszując swe oczy w Boskiej fizyognomii Chrystusa. Tej doskonałości dusza i serce jego oddawna pragnęły, a chociaż po tyle już razy tę cudną twarz widział w snach swoich, przyznał, że była ona daleko piękniejszą w rzeczywistości, aniżeli w najpiękniejszych jego marzeniach.

To nie radość z tryumfu, malowała się na obliiczu Zbawiciela, które Ezra podziwiał, ale wyraz wielkiej i świętej mądrości; bo Jezus, czytając w sercach ludzkich wiedział. że to głośne Hosanna będzie wkrótce zastąpione okrzykiem: „*Ukrzyżuj Go! Ukrzyżuj Go!*“ A skoro tłumy zbliżyły się do Jerozolimy, ten wyraz mądrości wyrył się jeszcze głębiej — pomimo jednej chwili tajemniczego wahania się — przed jej bramami.

Kończył się wieczór; słońce skrywszy się za wzgórza, ostatni swój promień zatrzymało jeszcze po nad górą Kalwaryi, znacząc miejsce, na którem wkrótce miał być Krzyż wzniesiony. Po nad Jeruzalem zgromadzały się cienie, otaczając mrokiem potężne mury. Chrystus z miłością patrzał chwilę na to pyszne miasto, które wkrótce miało się odwzajemnić — skazując Go na haniebną śmierć krzyżową. Widząc jego sławę i przepych, rozmyślał o przyszłem jego zniszczeniu. I ciężki smutek ścisnął Przenajświętsze Jego serce, a z oczu, prawdziwie z anielską miłością w tę głębię patrzacych, popłynęły łzy. Wtedy odwrócił je — i przeszedł bramę.

Ezra rzuciwszy ostatnie spojrzenie na piękną twarz Boską, podążył swoją drogą ku domowi, w cieniach nocy. Całą noc śnił o Jezusie, a o pierwszym dnia brzasku, zerwał się z łóżka wziął ołówek w rękę i usiłował skreślić twarz w głębi swej duszy wyrytą. Ale, pomimo że każdy rys był niezatarty w jego pamięci i silnie wytłoczony w umyśle, ręka artysty nie była zdolną odmalować portretu Chrystusa. Po całodziennej żmudnej pracy, z coraz większym zapałem przyznawał, że inny, daleko piękniejszy był wyraz tej cudnej twarzy, i zupełnie inne spojrzenie jak to, które on starał się uchwycić. Przed wieczorem wyszedłszy z domu, znalazł Jezusa na górze Oliwnej, w pośród swoich uczniów. Smutne niedawno Oblicze Boga, promieniało teraz światłem niebieskiej radości.

Nieśmiałym krokiem zbliżył się Ezra; niepostrzeżony chciał popatrzeć w twarz Boską Chrystusa, posłuchać tego słodkiego głosu, którego dźwięk jak najcudniejsza muzyka napełniał jego duszę zachwytem. Ale Jezus wiedział, że on jest blisko, z miłym miłym więc uśmiechem zwrócił ku niemu swój wzrok pełen niewysłowionej miłości.

Wzruszony młodzieniec padł do nóg Chrystusa, wołając z uniesieniem: „Mistrzu, ja wierzę w Ciebie!“ Potem, zamrużywszy oczy, jak odurzony wracał do domu; a skoro tylko przestąpił próg rzekł: „Matko, Messyasz przyszedł! Widziałem Go — mówił ze mną. Niektórzy zowią go Nazareńczykiem“.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Zachodzące słońce za wzgórzami Judei, zajrzawszy raz jeszcze do pokoju artysty, ustępowało powoli. Konający młodzieniec, długą bezsennością znużony, leżał na białej pościeli; błyszczące oczy utkwił w niewykończony obraz Chrystusa, a potem — „Matko“, zawołał z głębokiem westchnieniem, „czy już Go więcej nie zobaczę? Ach, jak byłbym szczęśliwy, gdybym mógł chociaż raz jeszcze ujrzeć twarz Jego!“

Zaledwje to życzenie wymowionem zostało, gdy przez w pół otwarte drzwi — wszedł żar niebieskich promieni. W powietrzu zadrgały dźwięki anielskiej muzyki i cudny śpiew Cherubinów. Zbawiciel stanął przed gasnącym już chłopcem i mile się doń uśmiechnął; wtedy, z najwyższej radości okrzykiem, dusza młodego artysty wydobyła się z uścisków wątłego ciała — a widzenie znikło.

---

## Wiadomości ze świata.

**Nieszczęśliwa kraina.** Niejedna okolica pod słońcem bez żalu pożegnała ubiegły rok katastrof, rok powodzi, głodu i t. p,

Straszna jednak klęska Pensylwanii, wraz z głodem, powodziami i trzęsieniem ziemi w Chinach, niczem jest w porównaniu do katastrof, przez jakie przeszło państwo Mikada, tak gorąco garnąca się do cywilizaczi naszej Japonia.

Przebyła ona w r. ubiegłym klęski, jakich najstarsi niepamiętają.

Pierwsze zalewy, wywołane obfitemi deszczami w drugiej połowie kwietnia, dotknęły ogręgi północnej Japonii: Hokkaido, Szimmane, Shiga i Niigata.

W powodzi tej przepadło mnóstwo zabudowań, a szkody, zrządzone przez straszny żywioł, olbrzymich doszły rozmiarów.

W końcu czerwca spadły na północ od Tokio, a mianowicie w prefekturach: Nigata, Miyagi i Ishihawa, potężne ulewy w połączeniu z huraganami, które znowu w wymienionych prowincyach spowodowały powódź. W samej tylko prefekturze Miyagi 12.000 akrów uprawnej ziemi, pokryła ulewa mułem i piaskami. W Ishihawa wody zniosły 1.200 domów.

Lipiec jeszcze większe spustoszenia sprowadził.

W prefekturze Oita (na wyspie Kiusiu) największa z rzek wyspy, Chikugo-gawa, wystąpiła z brzegów, pustosząc 4.000 akrów obsianych pól. Około 500 budynków runęło, woda zniosła 10.000 stóp tam ochronnych, zginęło 46 osób, a około 20 uległo kalectwu.

Podobnież w prefekturze Hiroshima, około 6.000 akrów uprawnej ziemi zniszczało, groble na olbrzymich przestrzeniach woda zniosła, 15 osób śmierć znalazło, 12 ciężkie obrażenia ciała. Nie lepiej działo się w prefekturze Toyuma, gdzie 1.400 domów runęło i niemal całe przepadły zbiory.

Był to jednak tylko wstęp; w sierpniu powtórzyły się katastrofy z siłą niepamiętną.

Rzeka Chikuga podniosła się o $28^1/_2$ stopy po-

nad zwykły swój poziom i pokryła zalewem prefektury: Fukuoka, Wakayama i Nara w znacznej części. Woda po paru dniach opadła, ale na krótką chwilę tylko, już d. 24. grudnia r. zeszłego zalew powtórzył się z równą siłą.

Dwie te powodzie w Fukuoka zalały 232 wioski, 32,270 domów, zniosły 1.400 budynków, pozbawiły życia 70 osób, a 75 przyprawiły o kalectwo, zburzyły 2.740 mostów i 130 mil tam ochronnych. Opustoszało 80.000 akrów uprawnej roli, a 70.000 ludzi znalazło się bez kawałka chleba.

Straszniejszemi były jeszcze skutki powodzi w prefekturze Wakayama, szkody bowiem w naturze były te same, znacznie jednak więcoj zginęło ludzi, bo 1.247 osób.

W sąsiedniej Nara 3.000 domów i 20.000 akrów uprawnej ziemi stało pod wodą. Śmierć znalazło 240 osób, okaleczało 35

We wrześniu znowu, szalały w prefekturze Aichi orkany, które zalały 1.000 domów, 685 osób przyprawiły o śmierć, a 120 o kalectwo.

A teraz spróbujmy liczby te, oczywiście jeszcze niedosiągnięte, zebrać razem

Powodzie zatem w r. zeszłym dotknęły w Japonii 12 prefektur. Zginęło osób 2.420. okaleczało 155, bez chleba znalazło się 90.000; 500 domów doznało już to uszkodzeń, już to zniszczało zupełnie. przepadło 150.000 akrów zbiorów i około 6.000 mostów runęło.

Do powyższch cyfr dodać jeszcze wypada skutki trzęsienia ziemi w Humamoto, podczas którego 50 ludzi życie straciło.

**Śmierć espady**. Wszyscy oni zwykle tak kończą. W d. 10. grudnia ub. r. głośny espada, el Habanero, podczas walki z bykiem w cyrku, w Kadyksie, otrzymał dwa potężne udorzenia rogów, jedno w piersi, a drugie w twarz, które mu oderwało całą dolną szczękę. W kilka godzin po wypadku nieszczęśliwy zakończył życie.

**Ostrożnie z obłąkanymi** Jak dalece wypada niedowierzać najlżej nawet cierpiącym na pomieszanie zmysłów, niech posłuży przykład następujący. W prowincyonalnym zakładzie waryatów w Ueckermünde (Prusy) jeden z lekkochorych zajętybył w niedawnych dniach w towarzystwie ogrodnika miejscowego kopaniem w ogrodzie. Nagle, korzystając z chwili w której ogrodnik pochylił się ku ziemi, waryat uderzeniem łopaty rozpłatał mu czaszkę, poczem pobiegł do dyrektora zakładu z doniesieniem, że w ogrodzie leży ogrodnik i nie chce nic robić. Dyrektor poszedł za waryatem do ogrodu, a ponieważ miał krótki wzrok, pochylił się nad trupem nieszczęśliwej ofiary. W tej samej chwili waryat rzucił się z kolei na niego, uderzył go acz nieszkodliwie łopatą i zdarł mu okulary. Szczęściem dyrektor wziął ze sobą jednego ze strażników, który niebezpiecznego waryata zdołał związać.

**Sfałszowany obraz**. Na jednej z licytacyj dzieł sztuki w Paryżu, wystawiono na sprzedaż krajobraz wrzekomo Róży Bonheur p. t. „Wieśniaczka pasąca owce“. Zaintrygowana faktem tym artystka udała się do sali licytacyjnej i przekonała się, że podpis jej sfałszowano na obrazie — wierutnej tandecie. Oczywiście, podpis Róży Bonheur natychmiast wymazano.

**No puedo cantar**. Klimat Hiszpanii jakoś nie sprzyja w ostatnich czasach tenorom. W drugim akcie „Poławiaczy pereł“ w operze madryckiej urwał nagle partyę swoją tenor Gayarre i wołając „No puedo cantar“ (Nie mogę śpiewać), padł zemdlony. Szczęściem, niedyspozycya nie trwała długo, bo wśród rzęsistych oklasków śpiewak w 3-im akcie pojawił się znowu na scenie.

**Cholera**. Jak donosił niedawno poseł włoski w Teheranie (tel. pr. „Kur. w.“) szerzy się gwałtownie w Bagdadzie, Basorze, Baszkirze i Mehamerze. Zagraża niebezpieczeństwo zawleczeniu jej do Turcyi, do której 40.000 pielgrzymów powraca z Azyi.

**Poczty w Hiszpani** odznaczają się szczególnym nieporządkiem. Dość wspomnieć, że od stycznia do czerwca 1889 roku, pomiędzy Alicante a Madrytem, zaginęło 2000 listów, a wszelkie reklamacye, nie odniosły żadnego skutku.

**Pani Mackay,** żona amerykańskiego milionera, stawała niedawno przed sądem. Oskarzyła ona wydawcę pisma: „Manchester Examinerand Times“ o potwarz, ponieważ ten dziennik twierdził o niej, że pochodziła z ludu, że utrzymywała się dawniej, przed zamążpójściem, praniem bielizny. Pani Mackay udowodniła zaś, że jest córką półkownika Hunyerforda a przed poślubieniem Mackya, była żoną lekarza Brianta. Jako karę za niedokładne informacye zażądała p. Mackay od wydawcy pomienionego dziennika, odwołania i złożenia pewnej sumy na cele dobroczynne. Wydawca przyjął postanowione sobie warunki i sprawę umorzono.

**Panorama**. Amerykanie nie żartem zaczynają się krzątać około zapowiedzianej w Chicago wystawy. Między innemi zamówiono u malarzy paryskich: Delort i Carrier-Bolleuse, panoramę, która ma przedstawiać podróże Stanleya, podjęte w celu odszukania Liwingstona i Emina baszy.

**Raj niewieści**. Wedle doniesień nowoorleańskich, Kanzas, jest niewieścim rajem a piekłem dla mężczyzn. Kobiety rządzą tam wyłącznie. Mnóstwo tu kobiet kaznodziei, prawników, drukarzy, redaktorów, kupców i t. p. Każdy „county“ posiada radę szkolną kobiecą, a miejscowość Cottonwood, zaopatrzyła się nawet w sędziego policyjnego niewiastę, która szczególnie ostro każe „podchmielonych“.

**Handel niewolnikami** w Afryce został w małej części wzbroniony. Francuski wielkorządca z Obork (małej wysepki na czerwonem morzu) p. Logarete zawarł bowiem układ z sułtanem z Padjufraf, mocą którego zakazano handlować niewolnikami, przynajmniej na przestrzeni Dunkali.

**Dzielni urzędnicy**. W gminie Disze pod Karansabes (na Węgrzech) zmarł niedawno temu nauczyciel szkoły miejscowej, Dymitr Soma, który w jednem z peszteńskich towarzystw ubezpieczony był na życie, na sumę 2.000 złr. Pozostała po zmarłym

wdowa, nie umiejąc sama poradzić sobie z wymaganemi formalnościami przy odbiorze pieniędzy, uprosiła miejscowego sędziego i notaryusza, którzy jej w tem pomogli. Zaraz pierwszej nocy po odebraniu 2.000 złr. zdarzyło się, iż wdowa przyjęła do siebie na nocleg dwóch przechodzących żandarmów i pomieściła ich w gościnnym pokoju. Około północy ktoś do drzwi zapukał, a gdy je wdowa otworzyła, wpadło do izby kiku zamaskowanych ludzi, domagając się pieniędzy. Kobieta oddała im 12 złr.. które miała przy sobie, rabusie jednak nie poprzestali na tem, ale żądali koniecznie 2.000 złr. Sprytna gospodyni objaśniła opryszków, że pieniądze złożyła w gościnnym pokoju, no i tam przyłapali ich żandarmi. Pokazało się, że złodziejami byli właśnie miejscowy sędzia, notaryusz i kasyer, ci sami, którzy dopomagali wdowie do odebrania sumy z Towarzystwa.

**Vieyra-Molina.** W Paryżu zmarł temi czasy człowiek, któremu, jak sam o sobie opowiadał, Napoleon III. zawdzięczał głównie koronę. Był nim Vieyra-Molina, były ajent giełdowy, a następnie jeneralny szef sztabu gwardyi narodowej. Zwrócił on na siebie uwagę Ludwika Napoleona, późniejszego cesarza, energicznem wystawieniem podczas powstania z 1849 roku, na którego czele stał Ledru-Rollin. Był on wówczas kapitanem gwardyi narodowej i obsadził kompanią swoją, drukarnię pism rewolucyjnych i socyalistycznych. W dniu 28. listopada 1851 roku, a więc na pięć dni przed zamachem stanu, mianował go prezydent Napoleon naczelnikiem sztabu jeneralnego gwardyi narodowej i oznajmił mu na wieczorze w pałacu Elizejskim w wilię zamachu. iż zadaniem jego jest nie dopuścić powstania gwardyi narodowej. Vieyra udał się natychmiast do miejsca rezydencyi jeneralnego sztabu i tu rozkazał wszystkie bębny porozbijać. Następnie zalecił dowódzcy gwardyi jenerałowi Lawoestine aby rozesłał bezwarunkowy zakaz do wszystkich dwudziestu pułkowników legii, tyle ich bowiem liczyła podówczas gwardya narodowa paryska, bębnienia jeneralnego marsza. Skutkiem tego zakazu gwardya pozostała w czasie zamachu w domu, a Vieyra chwalił się następnie, oczywiście tylko do 1870 r., że jemu Francya zawdzięcza cesarstwo. Vieyra zmarł w 88-ym roku życia jako zamożny rentier.

**W nadchodzącym karnawale** nie będzie na dworze wiedeńskim żadnych balów, z powodu rodzinnej żałoby.

**Pogłoska,** jakoby W. książe rosyjski i następca tronu, miał się zaręczyć z grecką księżniczką Maryą, jak się pokazuje, została pochwyconą z powietrza.

**Były poseł włoski,** przy dworze petersburskim żyjący w Medyolanie hr. Greppi, ogłosił w przeszłym miesiącu kilka artykułów w włoskim dzienniku „Perseveranza“, w których stara się udowodnić, że „związek Włoch z środkowemi mocarstwami“, jest nienaturalny, że musi się on rozerwać, bo dla Włoch tylko związek z Rossyą może być pożytecznym.

**Rewolucya brazylijska** poruszyła buntownicze duchy i w niespokojnej Italii, bo Włochom nie bardzo się podoba monarchia z królem na czele. Kiedy bowiem z początkiem grudnia ubiegłego roku prezydent prowincyonalnej rady w Genui, skończył swe zagajenie słowami: „Niech żyje król“, „niech żyje ojczyzna!“, powstał delegat miasta Spezia i wyrzekł: że zgadza się wprawdzie na słowa: „niech żyje ojczyzna“, ale nigdy na życzenie dla króla, gdyż według jego przekonania monarchia królewska nie zgadza się z dzisiejsym postępem czasu. Coś podobnego zaszło i w prowincyi Perugiańskiej, gdzie obywatele miast Umbertida i Çita di Castello ogłosili publicznie w tamtejszych czasopismach oświadczenie, iż trzymać się będą zasad republikańskich — Piękna to przyszłość dla dynastyi sabaudzkiej, która śmiała targnąć się na ojcowiznę Piotra św.

---

# Kronika kościelna.

— **Biskupi szwajcarscy** postanowili katedry teologiczne na nowym uniwersytecie katolickim w Fryburgu obsadzić profesorami z zak. OO. Dominikanów, którzy wprawdzie nie posiadają żadnego klasztoru w Szwajcaryi, lecz wątpić należy, aby rząd sprzeciwiał się wprowadzeniu tegoż do kraju, skoro nie ma on żadnego pokrewieństwa z zak. Jezuitów a tylko tym i pokrewnym im zakonom zakazany jest wstęp do Szwajcaryi.

— **Na protestanckim synodzie** odbytym w kantonie zurychskim w początkach grudnia 1889 r. zaszły ciekawe uchwały. Synod przyjął bowiem wniosek rady kościelnej, która zadecydowała, że bierzmowanie należy uważać tylko jako dopełnienie chrztu, z tym atoli swoim dodatkiem, że nie powinien tu mieć miejsca żaden przymus duchowy. Można przeto należeć do kościoła protestanckiego, nie będąc nawet ochrzczonym. Przedstawiciele pozytywnego kierunku podnieśli przeciw temu protest, ale rozumie się że nie będą mieli odwagi z tego kościoła wystąpić. Reformowani zaś ogłosili mimo to, że „chrzest duchowy“ jest tak samo ważny, jak i „z wody“, bo już i Zwingli nie uważał tego ostatniego za konieczny warunek należenia do kościoła. Zrobiono wprawdzie uwagę, że taka nauka może wywrzeć zły wpływ na lud, atoli synod przeszedł nad nią do porządku dziennego. Oto do czego dochodzi protestantyzm!

— **Nawrócenia w Anglii.** Siostra irlandzkiego państwowego nadprokuratora, pna Madden, dotychczasowa dyakoniska, złożyła wyznanie wiary w kościele PP. Dominikanek w Dublinie. W Kanterburg zaś przeszła na katolicyzm obsługaczka szpitalna, panna Constance, za co wydalono ją ze służby. Na takie postępowanie oburzył się nawet jeden z protestanckich dzienników tamtejszych i wskazał zarządowi szpitalnemu jako wzór cierpliwości i tolerancyi francuskich kapłanów osiedlonych blisko Kanterbury, którzy trzymają przy swym szpitalu protestanckiego lekarza i przyjmują chorych wszelkiego wyznania. Prócz tego, nawrócił się do wiary kat. na łożu śmiertelnem jeden z pastorów, starzec 79 letni, lecz kiedy umarł, mimo protestów katolików, został według woli krewnych pochowany przez anglikańskiego duchownego.

**Konsystorz papieski i allokucya Ojca ś.** Dnia 30 grudnia 1889 r. udali się nowoobrani kardynałowie: ks. Richard (arcyb. paryski), Fourton (arcyb. Lyouu) i ks. Schönborn (arcyb. Pragi) o godz. $9^1/_2$ rano do kaplicy sykstyńskiej, by tam złożyć przysięgę kardynalską. Po ukończeniu tej wspaniałej ceremonii, w czasie której Ojciec ś. siedział na *Sella gestatoria* i włożył im kardynalskie birety, powrócił do swoich apartamentów, następnie udał się do sali konsystorskiej i odbył tajny konsystorz, na którym między innymi mianowani zostali następujący biskupi: msgr. Thoma z Passawy przeniesiony do Monachium; ks. Ant. Zerr z tyt. biskupstwa Diocletianopolis przeniesiony na stolicę biskupią Teraspol w Rossyi, ks. M. Rampf mian. biskupem w Passawie (w Bawaryi); ks. Ant. Awdziewicz biskupem wileńskim; ks. Fr. Jaczewski biskupem lubelskim i administratorem Podlasia; ks. M. Nowodworski biskupem płockim; ks. L. Feliks Zdanowicz biskupem tytul. z siedzibą w Petersburgu. W allokucyi, jaką Ojciec św. wygłosił na tym konsystorzu, wyraził radość z powodu otwarcia katolickich uniwersytetów w Waszyngtonie, Ottawie i Fryburgu, przytem dał także z drugiej strony wyraz zmartwieniu, jakiego przysparzają Włochy, gdzie wrogowie nie ustają w walce z Kościołem. Nowy włoski kodeks karny, wchodzący w życie z dn. 1 stycznia 1890 r. jest uciemiężeniem i obelgą całego duchowieństwa. Żalił się dalej nad naruszeniem woli fundatorów i odebraniem chrześciańskiego charakteru pobożnym fundacyom, które podciągnięto pod dozór państwowy, a w końcu zaznaczył, iż przez to wmieszanie się władzy świeckiej do zarządu spraw kościelnych, zadano nowy cios Kościołowi.



**JEm. ks. kard. Celestyn Józef Ganglbauer,** książę arcybiskup wiedeński (str. 18).

— **Powinszowania noworoczne**, rozsyłali zgromadzeni w tym czasie kardynałowie w Rzymie, zazwyczaj cesarzom Austryi, Niemiec, królowi hiszpańskiemu, portugalskiemu, saskiemu i belgijskiemu. W tym roku zaś, jak donosi „Gazeta genueńska“, mieli takie powinszowania przesłać, nietylko jak w roku zeszłym, prezydentowi republiki francuskiej i księciu regentowi bawarskiemu, ale także już i cesarzowi Rossyi a nadto królowej angielskiej.

— **Pielgrzymka do Rzymu.** Katolickie dzienniki donoszą, iż w r. 1890 obchodzoną będzie w Rzymie 300-tna rocznica wstąpienia na tron papieski Grzegorza Wielkiego, jednego z najwybitniejszych papieży, którego zwłoki spoczywają w kaplicy klementyńskiej, w lewej nawie kościoła ś. Piotra. Z okazyi tej uroczystości wydał książe Löwenstein odezwę do katolików niemieckich, zapraszając ich do pielgrzymki do Rzymu.

— **Książe-biskup wrocławski** ks. dr. Kopp, miał, jak donosiła swego czasu „Schles. Volksztng.“, rozporządzić, by alumni duchown. seminaryum w Wrocławiu starali się wyuczyć języka polskiego, potrzebnego im w duszpasterstwie. Pogłoska ta, jak się wnet pokazało, nie była całkiem prawdziwą, a rozporządzenie powyższe, pisze dalej ten sam dziennik, byłoby nawet niepotrzebnem, gdyż w alumnacie tamtejszym i bez tego odbywają się ćwiczenia polskie, szczególnie przy obrabianiu nauk homiletycznych. Zdaje się atoli, że idzie tu o to, by prócz owych ćwiczeń homiletycznych, zaprowadzić systematyczną naukę języka polskiego. Dałby to Bóg!

— **Beatyfikacye** Dnia 26 stycznia ma Stolica ś. wpisać w poczet błogosławionych nauczyciela młodzieży Pirotti'ego, a 9 lutego biskupa Anzinę z Saluzzo ucznia ś. Filipa Nereusza.

— **Wolność katolickiego Kościoła** w Francyi coraz większego doznaje ograniczenia i uciśnienia. Niedawno bowiem rozesłał minister sprawiedliwości Thevenet okólnik do prokuratorów państwowych, polecając im, by czuwali nad kazaniami katolickiego kleru, zwłaszcza gdyby ten występywał przeciw nowej ustawie wojskowej.

— **Swiętopietrze**, jakie Ojcu św według doniesień węgierskich dzienników przesłał J. E. ks. kard. Simor, wynosi 20.000 zł.

— **Nowym biskupem** w Passawie, mianowany został ks. dr. Michał Rampf. Czcig. nominat urodził się d. 4 paźdz. 1825 r. Studya gimnazyalne, teologiczne i filozoficzne ukończył ks. Ramp w Monachium, poczem w r. 1847 wstąpił do duchownego seminaryum w Freising, gdzie po wyświęceniu na kapłana w r. 1850, sprawował naprzód tamże obowiązki kapelana przy nadwornym książęcym szpitalu. W r. 1853 złożył doktorat z teologii, a po śmierci dyrektora tamtejszego seminaryum, objął profesurę egzegetyki w królewskiem liceum w Regensburgu, gdzie później wykładał też pastoralną i pedagogikę. Król Ludwik II mianował go w r. 1864 kanonikiem katedralnym w Monachium, w r. 1874 zaś został generalnym wikaryuszem. Jeszcze przedtem, bo w r. 1885 powierzono mu kierownictwo seminaryum kleryków w Freising. Ma to być uczony i roztropny kapłan.

— **Koszta**, jakie łożył Crispi, włoski prezydent ministrów, na utrzymanie szpiegów koło Watykanu, wynoszą około 60.000 lirów. – Piękna gospodarka!

— **Dementi.** Watykański urzędowy dziennik „Osservatore Rom.“ zaprzeczył kategorycznie doniesieniu dziennika „New York Herald“ — jakoby Stolica Ap. starała się wpłynąć na katolików amerykańskich i skłonić tychże do założenia klerykalnego banku w Ameryce.

— **Kara Boża na bluźniercę.** Francuskiemu czasopismu: „Semaine catholique“ doniesiono z Tuluzy co następuje: „Pewien wolnodumca z Valliéres les Grandes, zawiesił na szyję swego psa „Różaniec“ mówiąc szyderczo: »psu bardzo w nim pięknie, a ja mam szczęście w polowaniu na zające«. Wkrótce po tem bluźnierstwie zapadł ów nieszczęśliwy myśliwy w chorobę szyi, nie mógł ani nic jeść ani oddychać i w końcu umarł w strasznych boleściach. Nie trzeba dodawać, że według jego życzenia pochowano go też jak psa, t. j. bez błogosławieństwa kościelnego.

— **Milionerka zakonnicą.** Katarzyna Drexel, córka znanego z dobroczynności amerykańskiego bankiera Drexel, trwa w swem niezłomnem postanowieniu wstąpienia do zakonu. Już od czerwca zeszłego roku bawi ona w Pittsburgu w domu Sióstr Miłosierdzia, obsługuje tam chorych i prosi, by ją przyobleczono w suknię szarytki. Zanim atoli zamieszkała w pomienionym klasztorze, przedtem zwiedziła kolonje Indyan i przyszła do przekonania, że chcąc tym biednym ludziom przyjść w pomoc duchowną, trzeba koniecznie utworzyć zakon żeński, któryby się poświęcił dziełu nawracania i umoralnienia tychże, a szczególnie Indyanek. Podobnoś cały swój milionowy majątek chce poświęcić na ten chwalebny cel.

(Nekrologia). **JEm. ks. kard. Celestyn Józef Ganglbauer**, książe-arcybiskup wiedeński, zmarły dnia 14 grudnia 1889 r. urodził się dn. 20 sierpnia 1817 r. w Thaustetten, w górnej Austryi, z rodziców stanu wieśniaczego. Początkowe elementarne nauki pobierał dostojny purpurat w szkole istniejącej przy benedyktyńskim klasztorze w Kremsmünster, gdzie tak się przejął życiem klasztornem, że w r. 1842 wstąpił do tegoż zakonu, a wyświęcony w następnym zaraz roku na kapłana pełnił najpierw obowiązki duszpasterskie w Neuhofen. W kilka lat później, t. j. r. 1876, obrano go przeorem klasztoru w Kremsmünster, wnet potem administratorem, a po śmierci opata O. Augustyna Reslhuber'a, obrano go opatem tegoż klasztoru. Już wówczas poważano go bardzo jako człowieka uczonego i dobrego kapłana. W r. 1874 powołany został na członka izby panów i udekorowany orderem Franciszka Józefa. Kiedy w r. 1881 umarł kard. Kutschker, arcybiskup wiedeński, powołano ks. Ganglbauera na jego następcę. W 4-tym roku piastowania tej godności t.j. 1884 r. d. 10 listopada, mianował go Ojciec św. kardynałem rzym. k. Kościoła. Całe życie tego zacnego dostojnika Kościoła było jakby uosobieniem łagodności i dobroci. Dla uciśnionych był ś. p. ks. Kardynał prawdziwą

ucieczką, a jego ręka udzielała skrycie hojnych wsparć wszystkim nieszczęśiiwym. Przyjacielskość w obejściu i podziwu godna pokora zjednywały mu serca wszystkich. Ile zmarły kardynał przyczynił się do obudzenia katolickiego życia w Austryi, to kiedyś dopiero historya osądzi. Można tu tylko powiedzieć, że sprawy Kościoła były jego radością i smutkiem, jego weselem i boleścią, bo Kościół i piecza o duchowe dobro powierzonych sobie owieczek, zajmowały przedewszystkiem jego umysł i serce. — Cześć jego pamięci!

## Rozmaitości.

— **Z życia ks. Jana Bosco.** W dniach młodości swojej, miał sławny ks. Bosco dziwny sen, który potem dość wiernie się spełnił. Pobożny ten kapłan i dobroczyńca dziatwy opuszczonej, widział się w owym śnie otoczony liczną gromadą dzieci, które z początku miały głowy dzikich zwierząt: lwów, tygrysów, hyen i niedźwiedzi, powoli atoli przemieniały się one w owieczki, a kiedy to się już stało, jakiś tajemniczy głos nakazał mu prowadzić takowe na pastwisko. Na drugi dzień po przebudzeniu się opowiedział mały Bosco, sen ten swojemu rodzeństwu. „Będziesz pewnie hersztem rozbójników“, rzekł mu na to z śmiechem Antoni. „Nie, rzekł Józef, on będzie pasterzem“, a babka skarciła ich za to i rzekła, że z tego snu nie należy szydzić, gdyż kto wie — dodała w końcu — „czy Jan nie będzie kiedyś kapłanem“. Czasy biegły sporo, Jan zaś szukał wszelkich sposobności, by się spotkać z swoim proboszczem, czuł bowiem potrzebę, by być od niego kochanym. Gdy go więc z daleka zobaczył, starał się zbliżyć się do niego i pozdrowić go. Kapłan grzeczny ale poważny, odwzajemniwszy się pozdrowieniem, szedł dalej swoją drogą, nie zważając nic na chłopca, a to spotkanie nie było wcale po myśli Janka. Nie raz rozpłakał się, a przyszedłszy do domu, żalił się ze łzami przed swoją matką, że jego usiłowanie spełzło na niczem. Roztropna matka starała się wytłumaczyć mu to zimne zachowanie się proboszcza i mawiała mu: „nie martw się tem, wiedz przecie, że pobożny kapłan ma myśleć o ważniejszych rzeczach.“ — Ale, mówił na to Janek, przecież przyjacielskie słówko nie wieleby go czasu kosztowało, piękne jakie opowiadanie uczyniłoby mię szczęśliwym. — »Wiesz przecież, mówiła na to matusia Małgorzata, że ma on wiele do czynienia: musi słuchać spowiedzi, mówić kazanie, uczyć religii św., nie ma przeto czasu na rozmowy z chłopcami«. — A czyż to my, odpowiadał dalej Janek, nie jesteśmy jego owieczkami, czy Pan Jezus tracił czas, zabawiając się z dziećmi? — Rozmowa tego rodzaju toczyła się jeszcze przez chwilę, aż wreszcie rzekł mały Janek: „Gdy kiedyś zostanę księdzem, będę uprzejmym dla dzieci“ — i dotrzymał słowa.

**(Niebezpieczna próba).** Kiedy Napoleon I, wybierał się w wojowniczym zamiarze do Belgii, troszczył się on więcej niżby się po nim spodziewano, także i o bezpieczeństwo własnej osoby. Wezwał przeto biegłego rusznikarza i spytał go, czyby mu nie zrobił pancerza, któryby nie przepuścił kuli. Rusznikarz przyrzekł to zrobić za 18.000 franków, na co cesarz się zgodził. Na oznaczony czas ukończył on swą pracę i przyniósł ją Napoleonowi, a ten kazał mu by sam wdział na siebie ten pancerz. Kiedy się zaś przekonał, że dobrze przylega do ciała, przyniół dwa nabite pistolety i rzekł: „Teraz zobaczymy, czy twoja robota jest tak dobrą, jak mówisz“.

Stanął tedy o kilka kroków przed rusznikarzem, wymierzył do jego piersi, strzelił, a kula się odbiła.

— Odwróć się, — zawołał Napoleon.

Rusznikarz usłuchał. Cesarz wziął drugi pistolet i strzelił w jego plecy, a kula znowu odbiła się od pancerza. Biedny, drżący z strachu rusznikarz, myślał, że już popróbie, atoli cesarz wziął dwa nowe pistolety, i wystrzelił doń jeszcze dwa razy, a kiedy kula i tym razem się odbiła od pancerza — dobra — rzekł — jest twoja robota — ileż więc za nią żądasz?

„18 000 franków“ odpowiedział rusznikarz.

— Nie mój przyjacielu — powiedział Napoleon — to za mało, ale masz 36.000 franków za tę sztukę, i kazał mu ją natychmiast wypłacić.

**Ukarana zarozumiałość.** Jeden z zbyt młodych kandydatów stanu nauczycielskiego, wniósł do pruskiego króla Fryderyka Wielkiego prośbę, o udzielenie mu opóźnionej dobrze dotowanej posady inspektora szkolnego. Król oburzony taką zuchwałością młodzika, napisał taką na jego prośbie odpowiedź: „2-ga Książka królewska, rozdział 10, wiersz 5“ — a proszący śmiałek, otworzywszy Pismo ś. wyczytał tam te słowa: „Zaczekaj w Jerycho, aż ci broda urośnie, a potem przyjdź!“

**Trafna odpowiedź.** Do pewnego Spartańczyka rzekł zbytnio się chwalić lubiący tancerz: „Tyby nie potrafił tak długo stać na jednej nodze jak ja“. — „Prawda, że nie“, — odrzekł Spartańczyk, — „ale za to każda gęś to potrafi“.

**Za lekko ubrany.** Pewien minister francuski, znany co do obyczajów swych z nie bardzo dobrej strony, rzekł raz w parlamencie: „Okrywam się moją cnotą“. Gdy wnet potem zasłabł i umarł, jeden z sarkastycznych lekarzy paryskich dowiedziawszy się o tem powiedział: „To stąd pochodzi, iż się za lekko ubierał.“

* **Suknia cesarzowej.** Nie tylko zwykli śmiertelnicy ale i koronowane głowy bywają często pod pantoflem swych czcigodnych połowic. Kiedy Don Pedro, zdetronizowany obecnie cesarz brazylijski, zwiedzał wraz ze swą małżonką wystawę filadelfijską, zdarzyło się raz, że przysłuchując się jakiemuś koncertowi w ogrodzie t. zw. targowym, zajął z cesarzową i całem otoczeniem miejsce w halli gdzie było bardzo gorąco. Chcąc przysłużyć się swej małżonce, udał się Don Pedro osobiście do bufetu i kupił dwie czarki jakichś chłodników i sam je niósł. Nieszczęście chciało, że musiał iść po schodach z temi czarkami, a kiedy już był blisko cesarzowej, potknął się, upadł, i owe chłodniki wylały się na prześliczną nowozrobioną suknię jego małżonki. Ta w pierwszej chwili skamieniała z przestrachu ale za to potem otworzyła swe usta, jak zwykła kobiecina, i tyle posypało się z nich słów nie bardzo delikatnych, że trudnoby było je zliczyć. Pokorny Don Pedro, słuchał tego wszyst-

kiego z miną winowajcy i tylko od czasu do czasu prosił ją, by już przestała, co wcale nie pomagało, owszem żale jej i wyrzuty jeszcze się zwiększyły, kiedy po otarciu sukni serwetą pokazały się na niej dość nie ładne plamy. Tak się tem oburzyła, że nie zważając nic na otoczenie poczęła dalej po swojemu łająć małżonka już nie w języku francuskim ale w portugalskim. bo jej zabrakło słów ujemnej grzeczności. Biedny cesarz podał jej rękę i poprosił do wyjścia. Usłuchała go, ale po drodze dalej utarczkę wiodła i kto wie czy ją skończyła w mieszkaniu. Co to może suknia i jak to niebezpiecznie naruszyć próżność kobiecą.

## Kącik humorystyczny.

* **Podsłuchane.** — „Jak mi radzisz kuzynko, czy wstąpić do kawaleryi, czy do piechoty?“

— Ja radziłam ci zawsze do piechoty; będziesz potrzebował tylko o jednem bydlęciu myśleć.

* **Z melodramatu.** Żebrak, pukając do drzwi plebanii: — Księże proboszczu — rzecze — ulituj się i daj mi szklankę wody. bom taki głodny, że nie wiem, gdzie się spać położyć.

* **Dowcipna odpowiedź.** — Czemu nie jesz mięsa? — pyta pani majstrowa terminatora, który, dostawszy mały kawałek wołowiny, zamyślił się jakoś znacząco.

— Kiedy gorące — odrzekł chłopak.

— No to dmuchaj.

— Ba, kiedy jak dmuchnę, to zleci z talerza na ziemię . . .

* **Pijany.** — No, chodź, stary, do domu, kiedyś się upił — mówi kobieta, prowadząc pijanego małżonka.

— Cicho, babo! — odrzeeze pijak. — Toś ty się upiła . . . Widzę ja przecie, jak ci wszystko w oczach tańcuje.

* **Za długo byłoby czekać.** — I znowu zapalasz cygaro! Wiesz, że nie lubię dymu — mówi żona do męża.

— Wszyscy wielcy ludzie palili, moja duszko.

— Gdybyś tak chciał wstrzymać się od palenia dopóki nie zostaniesz wielkim, sama podałabym ci wtedy cygaro.

* **Delikatna sługa.** Kucharka godząc się do służby: — Ale jeszcze jedna rzecz, czy pani daje znoszone rękawiczki, bo ja nie mam ochoty walać sobie rąk przy kuchni.

* **Czcigodna rodzina.** (Matka odwiedza syna, siedzącego w więzieniu za złodziejstwo). — A cóż, synku, czy ciebie tu biją?

— E, gdzietam. matulu, ani tykają.

— A strawę masz?

— Owa, jeszcze jaką! codzień z mięsem i z okrasą.

— Oj, oj, oj, a toż to łaska Boska; szanujże się synku, kiedy dobre miejsce dostałeś.





Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stan. Baylego.